

STANISŁAW POSNER

(HENRYK BEZMASKI)

Z B L I S K A

I

Z D A L E K A

KSIAŻKA DLA MŁODZIEŻY I WYCHOWAWCÓW

MCMXXX

W A R S Z A W A

S K Ł A D G Ł Ó W N Y

KSIEGARNIA ROBOTNICZA WARECKA 9

Alfred

ZBLISKA I ZDALEKA

STANISŁAW POSNER

(HENRYK BEZMASKI)

Z B L I S K A

I

Z D A L E K A

KSIĄŻKA DLA MŁODZIEŻY I WYCHOWAWCÓW

MCMXXX

W A R S Z A W A

S K Ł A D G Ł Ó W N Y

KSIĘGARNIA ROBOTNICZA WARECKA 9

Zbiór artykułów drukowanych
w pismach dla młodzieży:
«Zbliża i zdaleka», «W słońcu»
oraz w «Robotniku»
w latach 1913 — 1930



235035

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0000030

Drukarnia Naukowa Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie, Rynek Starego Miasta 11

D-84/86

Wojciech po
K. Sienkowskim

BUH-D-85/227/48
28 DE

3,5
2,80



8 maja 1930 roku odszedł od nas Stanisław Posner — człowiek wielki, który mądrością swoją w pracy nam przewodniczył, dobrocią łączył, szlachetnością podnosił. Myślał o Jutrze życia — dla niego pracował. — — — — —

Moc przebudowy przyszłości w Młodzieży leży — — — Do niej więc i dla niej pisywał ulubione kartki swoje o wolności człowieka, dobroci, bohaterstwie pracy i czynów, szlachetności porywów i twórczości entuzjazmu.

Rozproszone w pismach różnych myśli tego wielkiego Przyjaciela Młodzieży, zebrane razem niech idą w świat drogami i ścieżynami, do miast i wsi i niech budzą w duszach młodzieńczych te twórcze pierwiastki dążenia naprzód, które tak jasno umiał piórem swoim ten głęboko mądry i szlachetny Duch rozpalać.

G W I A Z D K A

Tego roku profesor Henryk Bezmaski nie mógł spędzić świąt Bożego Narodzenia z uczniami swymi i rodziną. Ważne sprawy zawodowe trzymały go zdala od szkoły i własnych dzieci. Dyrektor szkoły koedukacyjnej «Jutrzenka» wysłał go za granicę do Anglii, aby zbadał tam urządzenia szkolne. Profesor pojechał i miał wrócić w połowie stycznia. Lubili uczniowie profesora Bezmaskiego, a już uczenice nie mówiły o nim inaczej jak «Ideal» (wobec tego uczniowie mówili «Migdał» — i biedny profesor miał dwa przezwiska!). Lubił on rozmawiać z dziećmi w przerwie między lekcjami, a niekiedy i po lekcjach. «Jakżeby się gwiazdka odbyć miała bez «Idealu»? — mówiły stroskane dzieci, spoglądając rzewnie na czerwone znaczki pocztowe, zdobiące pocztówki, którymi profesor je obdarował.

— Musi wrócić — mówili chłopcy.
Napisano zbiorowy list. Michałek, zwany «Literatem», odkąd nadsyłał korespondencje do «Zbliżka i zdaleka», napisał list. Stefanek, zwany «Kali-

grafem», przepisał go—a wszyscy podpisali: w szczególności dziewczynki, które się starały pisać wielkimi literkami, aby «Ideal» dobrze zauważył, że nie brakło ani panny Marji, ani Mani, ani Maniusi. Poradzono się jeszcze Dyrektora, czy list wysłać można. Dyrektor uśmiechnął się: «Czemu nie? Sprawicie profesorowi przyjemność. I jemu też należy się Gwiazdka...»

Profesor Bezmaski nie przyjechał. Nie pomogły piękne prośby Michałka, obowiązek był silniejszy. Ale z rozrzewnieniem przeczytał raz i drugi list uczniów swoich, cieszył się, że myśleli o nim, że kochają go, chcieliby, aby był z nimi, gdy zapalą wielką choinkę «Jutrzenki». Profesor pomimo pracy, którą był zajęty, wciąż wracał do listu, wyjmował go z kieszeni i odczytywał. «Dobre dzieci! Kochani chłopcy! Drogie dziewczynki!—wołał raz po raz. — Jakże im się odwdziczę za tyle serca! Trzeba i mnie do nich list napisać...»

Nazajutrz profesor wiedział już, co uczniom swoim pośle na Gwiazdkę. Wychodząc rano z domu, zauważył, jak robotnicy ustawiali na targu ulicznym niezliczone choinki, wielkie, małe. Powstał cały zagajnik, szmaragdowy, cudnie lśniący w promieniach zimowego słońca, przyprószony gwiazdeczkami śniegu. «Napiszę im o znaczeniu gwiazdki, choinki, Bożego Narodzenia». Wieczorem

wróciwszy do domu, profesor rozpałił ogień na kominku. Wesoło trzeszczały szczapy sosnowego drzewa. Profesor usiadł w fotelu, przygasił światło w pokoju i patrzył w ogień. Wspomnił czasy dzieciństwa swego, liczne gwiazdki, które sam przeżył, matkę, rodzeństwo, przyjaciół, rówieśników, a kiedy ogień zaczął dogasać, zapalił lampę, usiadł przy biurku i napisał odpowiedź na zaproszenie uczniów swoich. Załączył kartkę do Dyrektora z prośbą, aby ten list odczytał w wieczór wigilijny, w chwili, gdy szkoła zbierze się koło choinki.

Oto co pisał profesor Bezmaski do uczniów swoich:

«Kochane dzieci! Dziękuję wam serdecznie za dobre słowa wasze, za zaproszenie. Wiem, że mnie lubicie. Cieszę się, że przyjaźnią odpowiadacie na moją dla was przyjaźń. Raz jeszcze o tem przekonać się było mi szczególnie miło w chwili, gdy jestem na obczyźnie, zdala od swoich i od Polski, w tym właśnie pięknym dniu, tego właśnie wieczora, kiedy wszyscy razem zbierzecie się koło choinki. Jakże miło mi było usłyszeć, że chcecie, bym dziś właśnie był z wami. Jest to cudny wieczór, drogie dzieci. Jest to bowiem święto Miłości, Słońca, Wiekuistego Odrodzenia.

«Może i skądinąd wiecie, co oznacza to święto. Może i nie wszyscy wiecie. Wytłumaczę wam tedy

w paru słowach, jakie znaczenie głębokie posiada ten wieczór i ten dzień świąteczny.

«Dzień narodzenia dzieciątka Jezus nie był obchodzony w ciągu pierwszych wieków chrześcijaństwa. Dopiero w roku 354 obchodzono w Rzymie po raz pierwszy Boże Narodzenie 25 grudnia. Dlaczego kościół ustalił datę 25 grudnia? Otóż w miesiącu tym, a mianowicie 25 grudnia obchodzono w pogańskim Rzymie święto syryjskiego boga Mitry Natalis Invicti (Dies natalis invicti solis — dzień narodzin niezwycięzonego słońca.) Mitra — to był bóg słońca, słońce samo. Wiarę syryjską przynieśli do Rzymu legioniści w końcu I-go wieku, rozpowszechniona była w Rzymie w końcu II-go wieku naszej ery. Cesarz Helio-gabal uznał ją urzędowo. Cesarz Aurelian kazał wznieść Mitrze świątynię, otwartą właśnie 25 grudnia 274 roku, jako w dzień narodzin Mitry. Żaden inny dzień nie był bardziej odpowiedni, gdyż według kalendarza rzymskiego na dzień 25 grudnia przypadało przesilenie zimowe dnia i nocy. Od tego dnia dzień będzie dłuższy, noc krótsza. Słońce pokonało Noc. Słońce zwyciężyło, słońce odrodziło się na nowo po ciężkim i smutnym panowaniu Nocy zimowej. W ciągu całego stulecia Słońce było głównym bogiem państwa rzymskiego. Na monetach III-go i IV-go wieku wybijano

bożka Słońca na odwrotnej stronie (Soli Invicto)...

«Teraz zrozumiecie, dlaczego zapalamy świeczki na choince. Dlaczego w wigilję siedzimy — my dzieci — w pokoju, cicho, nie robiąc hałasu, pełni wzruszenia i niepokoju. Robi się ciemno w pokoju, szukamy pierwszej gwiazdki na niebie. Wtem poprzez drzwi przedziera się do nas smuga światła i po chwili otwierają się drzwi naościęż, zalewa nas światło, morze światła, tem potężniejsze, że z ciemnej wyszliśmy nocy. Tak sobie Rzymianie, a później i chrześcijanie wyobrażali zwycięstwo słońca nad zimą, zwycięstwo dnia nad nocą... Chcieli powiedzieć: odtąd już słońce panować będzie. Noc się schowa. Zima zginie. Wiosna przyjdzie...

«Odwiecznie istniał obyczaj obdarowywania się na Gwiazdkę. Zwyczaj ten był związany nietylko z uczuciem wielkiego święta, mającego tak dawną historję, ale i z porą roku: w tym czasie zbiory były dawno w domu, wszystko, co dała ziemia i ogród i rzeka i las; wobec pełnej spiżarni można podzielić się z sąsiadem, z rodziną; można było pamiętać i o służącym i o biedaku.

«Kiedy dziś — kończył czytać Dyrektor — staniecie wszyscy, kochani moi, pod choinką, która wyciągnie ku wam swoje długie ramiona szma-

ragdowe, pod gałęziami chowając dla wszystkich razem i każdego z osobna — podarek, przypomnijcie, ile pięknych myśli zawiera w sobie święto dzisiejsze. W nędznej stajence betleemskiej, rodzi się w żłobku dziecko, które z biegiem czasu miało stać się Jezusem Chrystusem. Jest to chwila, kiedy zmaga się słońce z nocą, kiedy kończą się noce najdłuższe roku, ciemne, ponure; kiedy dzień stanie się dłuższy. Niebawem i wiosny usłyszemy technienie. To zwycięstwo Słońca. To odrodzenie natury ale i światła w Dzieciątku, to wiara, że Ludzkość odradza się w dzieciach swoich, nie ginie, a wciąż do nowego rodzi się życia, pójdzie naprzód, będzie lepsza. I święto jej odrodzenia — jest świętem dzieci».

W miarę, jak Dyrektor czytał, uwaga dzieci stała się coraz większa. Radość powszechna, głośniejsza, hałaśliwa ustała. Zamiast uśmiechów radosnych na twarzach osiadła powaga. W niektórych oczach szkliły się łzy. Potem dzieci zaczęły szeptać między sobą. Po chwili zapełniono wielki kosz łakociami. Znalazły się i inne dary. I cała gromadka z nauczycielami na czele, nie czekając aż wypali się choinka, powędrowała na wieś, aby dzielić się z wszystkimi dziećmi szczęściem swoim i radością...

A profesor Bezmąski w tym samym czasie spożywał wilgę w Londynie.

Na przedmieściu, wśród robotników polskich, przez dolę ciężką wyrzuconych na daleki brzeg angielski, łamał się opłatkami, całował się i płakał, słuchając polskiej pieśni, nuconej w dalekim cudzym kraju.

P A M I Ą T K A S Z K O L N A

Jest niedaleko Warszawy, w Pabianicach, szkoła powszechna — taka sama jak inne szkoły 7 klasowe. Na czele jej stoją nauczyciele, ludzie myśli szlachetnej i czynu rozumnego.

Pytacie się, co zrobili? Skąd ta czułość dla szkoły w Pabianicach?

Oto co się stało.

Szkoła kończyła rok szkolny aktem uroczystym. Na sali zebrali się rodzice. Dobrzy uczniowie otrzymali nagrody i pochwały, o złych nie mówiono wcale. Chór śpiewał, orkiestra zagrała. Jeden z profesorów «poświęcił się» i miał okolicznościowe przemówienie. Najlepszy uczeń przeczytał swoje wypracowanie. Ale Rada pedagogiczna szkoły postanowiła uczcić zakończenie roku szkolnego na swój sposób.

Zebrali fundusik na powodzian? Nie. Na cegiełkę na odbudowę Wawelu? Nie. — Postanowiła wydać książeczkę pamiątkową dla uczniów.

Jaką książkę? Społeczną i obywatelską. Młodzi nauczyciele poczęli radzić między sobą co w książ-

ce umieścić. Książka nie może być zbyt obszerna. Ma to być pamiątka. Ma zawierać rzeczy, bez których obywatel obejść się nie może. Bez jakich mia-
nowicie?

Postanowili umieścić w książeczce dwie rzeczy: Ode do młodości i Konstytucję marcową z 1921 roku. Pierwsza ma przypominać młodość, ma wzywać do zapału, do entuzjazmu, do podniesienia serc. Tylko młodzi mają budować. Tylko młodość tworzy. Bądźcie młodzi przyjaciele! Bądźcie wiecz-
nie młodzi!

Pamiętajmy, żeśmy OBYWATELAMI, że obowiązkiem naszym jest służyć Rzeczypospolitej, że mamy przedewszystkiem obowiązki. Szczęściem jest kochać ludzi. Trzeba ich szanować, a nie nienawidzić i gardzić nimi. Trzeba wiązać ludzi, a nie dzielić i na proch mleć. Trzeba rozpalać ogniska łączności społecznej, nie otwierać krater nienawiści i egoizmu.

Chłopiec czy dziewczyna, którzy kończą dziś u nas siedmioklasową szkołę powszechną — mogą na niej wykształcenie szkolne zakończyć. Mogą nie poznawać praw konstytucji kraju, który jest ich ojczyzną i który pracą rąk budować będą.

Dziecko francuskie od szóstego roku życia uczy się «nauki obywatelskiej» — i uczy się jej aż do ostatniego dnia pobytu w szkole. Gdy w czterna-

stym roku życia opuszcza szkołę powszechną, wie i rozumie co to jest państwo, gmina, obywatel, rząd i parlament, podatek, szkoła, ustawodawstwo, sąd, budżet. Wchodzi ze szkoły w życie, w ocean życia uzbrojony. Może świadomie czytać gazetę, rozumie wszystko, co w niej napisane, może uczestniczyć w wyborach.

U nas rzadko który uczeń wie o tych rzeczach.

Pamiętaj młody Polaku, że jutro staniesz może u pracy, znajdziesz się może wobec stu sporów i zatargów, że będziesz w rozterce pytał sumienia, co ważniejsze: interes osobisty, czy powszechności?

Książeczka pouczy. Ślubowanie obywatelskie przypomni w ciężkiej chwili życia najwyższe obowiązki obywatela i człowieka.

LELEWEL W WILNIE

Trzy razy był Lelewel w Wilnie. Raz jako student (1804 — 1809) i ponownie jako profesor (1815 — 1818) i wreszcie znowu jako profesor (1822 — 1824 r.).

Osiemnastoletniego chłopca ojciec zawiózł do Wilna, gdzie wnet objawił się zarówno uczony jak i obywatel. W sercu młodego Lelewela żyły już wtedy dwa wielkie umiłowania, którym służył przez całe życie: przywiązanie do nauki, do prawdy naukowej, oraz przywiązanie do ojczyzny. W uniwersytecie, pod wpływem prof. Grodka kształcił się w filologii i w historii greckiej. Uczony Grodek dostarczał uczniom najnowszych książek, otwierał widoki na nowe zagadnienia, zajmujące uczonych europejskich. Obywatel — zaprawiał się w stowarzyszeniu studenckim Filomatów, którego był sekretarzem, dla którego pisywał rozprawy historyczne, geograficzne, literackie. Młody student, dzięki tej różnostronnej działalności zdobył w Wilnie taką sławę, że księgarz Zawadzki chciał zamówić u niego książkę pod tytułem Dzieje ojczy-

zny. Lelewel nie dowierzał jeszcze siłom swoim i odmówił.

Za pierwszym pobytom w charakterze zastępcy profesora historii zdobył sobie Lelewel imię najlepsze. Bożyszczem stał się młodzieży. Miewał na wykładzie po 80, 100, 150 uczniów. Takiej liczby nie znał żaden z kolegów profesorów na wykładach swoich. Skromny Lelewel pisał do ojca, do Warszawy: «Nie wiem co tak powabnego słuchacze moi znajdują? Bo, będąc na ich miejscu, możebym się wyrzekł pilności. Błoto mamy, nieprzyjemny czas... a mimo tego o ciemnej godzinie, po półtorasta a może i więcej ich się zbiera...» Zbierali się, nietylko uczniowie uniwersytetu, ale i ludzie starsi, księża i profesorowie, którzy sami już uczyli historii po kilka lat w szkołach. Cieszył się młody, trzydziestoletni profesor, że wywiera wpływ na publiczność, że «podniesie tak zaniebana, a narodowi naszemu tak potrzebną znajomość historii». Sam też razem ze słuchaczami uczył się. Pracował ogromnie. Czytał mnóstwo książek w różnych językach świata. Pisał też wiele.

Po kilkoletnim pobycie w Warszawie (1818—1822), gdzie Lelewel był tylko pomocnikiem bibliotekarza w uniwersytecie, pod koniec pobytu zaproszono go do wykładów. Ale powodzenia zbyt wielkiego w Warszawie nie miał. Stał się wtedy do

konkursu na katedrę profesora w Wilnie i w konkursie tym zwyciężył. Jakże inaczej przyjęło Lelewela Wilno! Wnet rozeszła się wiadomość, że Lelewel wraca, że zjeżdża do Wilna, że już przyjechał. W liście do rodziców tak opisuje pan Joachim pierwszy swój wykład w uniwersytecie. «Jak nadeszła godzina czwarta, udałem się do dziekana mego wydziału; siadłszy na sanki (było to 19 stycznia 1822 roku), zajechaliśmy przed salę. Wstępujemy na schody, przeciskając się między oczekującymi, dostaliśmy się do drzwi—daremnie, dalej już nie można, ciżba kompletna, ludzi pod sufit pełno...» Wykład nie mógł się odbyć. Odłożono go na dni kilka. Odbył się w wielkiej auli uniwersytetu. Na wykładach bywało po trzystu słuchaczy. Żaden z profesorów nigdy o takiej liczbie nie słyszał. «Bielą się — pisał Lelewel — siwe głowy między młodzieżą, ukazały się i damy. Był to zaszczyt niemały dla Lelewela — ale największym i sercu jego najmiłszym był hołd młodzieży. A że go ta młodzież, szlachetna i gorąca kochała i wielbiła, o tem świadczy najlepiej znany wiersz Adama Mickiewicza Do Joachima Lelewela. Znać ten wiersz. Dość przeczytać pierwszych kilka zwrotek, aby zrozumieć, jak wielkim i jak bardzo kochanym musiał być profesor, o którym pisze nieśmiertelny poeta:

O, długo modłom naszym będący na celu,
Znowu do nas koronny znijdiesz Lelewelu!
I znowu Cię obsłapią pobratymcze tłumy,
Abyś naprawiał serca, rozjaśniał rozumy.

Imię Twoje wybiegło za Chrobrego szranki,
Między teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki,
A jak mocno w litewskim uwielbianyś gronie
Publicznie usta nasze wyznają i dłonie.

A słońce Prawdy wschodu nie zna i zachodu;
Równie chętne każdego plemionom narodu,
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyźnie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.

Tylko sam, komu rzadkim nadało się cudem
Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem,
Nad burze namiętności, interesu sieci,
Z pomroków ducha czasu nad gwiazdy wyleci;
Uważa, skąd dla ludów przyszła ryknie burza,
Albo się pod otchłanie przeszłości zanurza.
Grzebiąc zapadłe wieków odległych ciemnoty,
Wykopuje z nich prawdy kruszec szczerzotyły.
Lelewelu, z rzetelną każdy chlubą wyzna,
Że Ciebie takim polska wydała ojczyzna.
Na świętym dziejopisa, jaśniejąc urządzie,
Wskazując nam co było, co jest i co będzie.

Niejedne już zyskałeś z godniejszych rąk wieniec;
Nie gardź tym, jaki wdzięczni składają młodzieńce.
I daruj, jeśli chwalić będziem Cię po świecie,
Że od Ciebie wzięliśmy na ten wieniec kwiatu.

Nic dziwnego, że tak wielkie zbierały się tłumy, że młodzież tak kochała Lelewela. Był on bowiem nie tylko wielkim uczonym, który biblioteki całe przeczytał i zbadał; nie tylko znał niezliczone ilości faktów historycznych, ale je układał w łańcuchy przyczyn i skutków, i uczniów swoich uczył, dlaczego tak było, dlaczego taka, a taka przyczyna wywołała taki, a nie inny skutek. Uważał, że obowiązkiem jego jest wykrywać prawdę i prawdę tę głosić. Nie kłamać, możliwym — nie schlebiać, mieć odwagę przekonań. W książce która powstała za wileńskich czasów, choć wydana została później już w Warszawie, pan Joachim ostrzegał nauczycieli historii: «Pomnij, że z ust twoich ma się historyczna prawda do słuchających uczniów rozchodzić; że twoja myśl i czucie w nich przelewać się będzie; że twoja dusza, jak ogień przenikać ma umysł i serce. Biada ci, jeśli prawdę skazisz, jeśli dostojność ludzką upodlisz i znacznie obrazisz dusze: naukę i ciebie odrzuca i wzgardzą uczniowie...»

Uczniowie nie odrzucali i nie gardzili nauką ani osobą profesora. Przeciwnie, coraz bardziej garnęli się do niego, przywiązywali się do profesora, przywiązywali się do nauki, przejmowali się szczytnym powołaniem, które wielki już dziejopis wskazywał. Nagle spadł z jasnego nieba grom. Do



Wilna zjechał senator Nowosilcow dla przeprowadzenia śledztwa w sprawie Filaretów. W następstwie tego śledztwa, Lelewel, który do żadnego tajnego nie należał stowarzyszenia, bez cienia powodu, z powodu tylko wielkiego wpływu moralnego, jaki na młodzież wywierał, został wraz z trzema innymi profesorami ukazem z dnia 14 sierpnia 1824 roku z uniwersytetu usunięty.

TAJEMNICA ADRESU POCZTOWEGO

Od czasu, jak pisuję dla młodzieży, otrzymuję listy od — czytelników. Żądają ode mnie wyjaśnień z powodu artykułów. Mam kilku korespondentów, którzy mnie stale obdarzają listami. Chwalą mnie, lub ganią. Często mają słuszość. I ja nie oszczędzam młodych korespondentów: wytykam im błędy w składni, niejasność myśli, niejasność w sformułowaniu żądania. Często trudno zrozumieć, o co piszącemu chodzi. Pragnie coś wyrazić, ale myśl, która w nim żyje, nie umie ubrać w szatę słów jasną, przejrzystą, ściśle określoną. Gdyby polskie dzieci wiedziały jak ściśle, jasno umieją myśleć, mówić, pisać — dzieci francuskie, jak im w szkole w ćwiczeniach nie wolno używać wyrazów zbyt licznych, pięknych frazesów, nadzwyczajnych przymiotników, jak je przyuczają do myślenia logicznego, do jasnego formułowania swych myśli! Chciałbym, aby młodzi przyjaciele moi myśleli tak jasno i pisali tak ściśle, jak Francuzi! Ta uwaga przyszła mi na myśl z powodu jednego listu.

Zdarzyło się, że przed kilku tygodniami, szanowna nasza redaktorka zamieściła w odpowiedziach swoich krótką uwagę o tem, jak należy adresować listy. Ponieważ pod odpowiedzią tą podpisane były pierwsze litery mojego nazwiska, tedy korespondent mój zapytał mnie, czy to naprawdę rzeczy tak ważne, czy to nie wszystko jedno, czy nazwa miasta będzie napisana na górze koperty czy na dole, czy będzie pierwszym wyrazem adresu, czy ostatnim, czy znaczek pocztowy będzie z prawej strony u góry przyklejony, czy gdzie indziej?

Odpowiem na to pytanie publicznie, bo uważam, że ono nietylko Adama interesuje, albo Tadeusza. Odpowiadam odrazu: tak to nie wszystko jedno, jak list będzie adresowany. Przytem, rzeczy to wcale niedrugorzędne, to rzecz ważna. Przedewszystkiem dlatego, że uczy nas porządku, to znaczy, oszczędza wielu niepotrzebnych wysiłków, prowadzących do marnowania energii, która może być zużyta w inny, pożyteczniejszy sposób. Dziś w Ameryce Północnej, ludzie zwrócili specjalną uwagę na to marnowanie czasu i energii wskutek braku porządku i zasady w pracy. Chcieliby zgóry obliczyć, jakie i w jakiej ilości potrzebne są ruchy rąk, nóg dla wykonania danej pracy. Obliczają stratę wynikłą z marnowania

energii, z powtarzania ruchów nieobliczonych, nieświadomych, na miliony godzin, które mogłyby być zużyte inaczej.

Gdybyście wiedzieli, jak ciężką jest służba urzędnika pocztowego! Kiedy sobie Adaś i wszyscy Tadeusze ze wszystkich szkół śpią w najlepsze, w biurze pocztowym wre praca nieprzerwana. Co chwila nadjeżdżają wozy z listami, setki urzędników znaczą je pieczęciami, segregują, układają tak, aby listonosze, przybywający nad ranem, znajdowali odrazu w przedziałkach swoje ulice i mogli najmniej czasu tracić na układanie listów według numerów i ulic, mogli bez straty czasu rozsypać się po mieście i doręczyć pisany dnia poprzedniego list Adasia do Tadeusza. Jeżeli adresy pisane są wedle jednego wzoru, łatwo je segregować; oko szuka miasta w dole koperty, znaczka pocztowego w górze u prawej strony. Szybko działają automatyczne pieczęcie. Ale jeżeli znaczek jest u spodu, jeżeli znajduje się z drugiej strony koperty? Wtedy urzędnik zmarnował spojrzenie jedno, skierowane wdół koperty, spojrzenie drugie, które szukało znaczka na całej powierzchni, przeznaczonej na adres, wreszcie trzecie, które znaczek odnalazło — z tyłu koperty. W ciągu tego zmarnowanego czasu mógł urzędnik pocztowy, tak ciężko pracujący na kawałek chleba, dwa, trzy listy opatrzyć.

Stracił, zmarnował dwa razy tyle czasu ile było potrzeba. Stracił—z naszej winy. Dlatego w szkołach niemieckich uczą dzieci, że trzeba zawsze znaczek pocztowy naklejać u góry koperty z prawej strony (oben, rechts!). Dlatego minister poczty w Niemczech dowodził, że trzeba kary zaprowadzić na tych, którzy przepisów nie przestrzegają i byle jak adresy wypisują. Kara ta miała polegać na tem, że przy pierwszym segregowaniu listów urzędnik odrzuca te, których adresy są źle wypisane, albo znaczka nie mają na właściwym miejscu. Nasamprzód załatwia listy dobrze adresowane, później dopiero bierze się do listów źle adresowanych. Pierwsze wnet odjadą. Drugie — będą czekały kolei i adresaci otrzymają je z opóźnieniem.

Dobrze zrozumiecie całe znaczenie tej sprawy, gdy wam powiem, ile listów rocznie roznosi poczta po świecie. Przerazicie się tych ogromnych liczb. 95 państw, obejmujących miliard ludności — we wszystkich częściach świata — należy do Związku Pocztowego, założonego w r. 1874 z siedzibą w Bernie. Związek ten otrzymuje wiadomości z całego świata. Według jego obliczeń w 1910 roku miliard ludzi wymieniło między sobą 20.000 milionów listów, 6.300.000.000 kart pocztowych, 18.000.000.000 przesyłek (druków, papierów urzę-

dowych, próbek towarów), 573 milionów przesyłek «bez wartości», 800 milionów przekazów pocztowych (wartości pięćdziesięciu miliardów franków). Ogółem obrót światowy wynosił więcej niż czterdzieści miliardów przedmiotów pocztowych (w r. 1873 cyfra ta wynosiła trzy miliardy). Urzędów pocztowych było na świecie w roku 1910—trzysta tysięcy, urzędników pocztowych półtora miliona.

Obliczono, że w roku 1910 Amerykanie Stanów Zjednoczonych zamienili listów ze sobą — piętnaście miliardów, Anglicy — ze sobą pięć miliardów, Japonja—półtora miljarda. Niemcy lubią pisywać do siebie pocztówki: zamienili ich ze sobą, wewnątrz kraju — półtora miljarda.

Druków wysłała Ameryka Północna w roku 1910 sześć miliardów sztuk. A dziś?

Czy zdajecie sobie sprawę z ogromu tych cyfr? I każdy z tych 40.000.000.000 listów, pocztówek, druków, pakietów, pudełek iluż urzędników i ile razy brało do ręki! Porachujcie tylko. Jeżeli adres wypiszemy dobrze, z namysłem, umiejętnie — ile milionów godzin zaoszczędzimy tym pracownikom. Co ważniejsza! Ile zaoszczędzimy zmarnowanych przesyłek. Nie gniewajcie się, że Wam tyle nudnych cyfr podaję, ale ta będzie już ostatnia: rocznie bywa niedoreczonych przesyłek 33 miliony.

Ileż w liczbie tych miljonów niedoręczonych listów i przesyłek nie trafi do adresata z powodu źle napisanego adresu, przeinaczonej nazwy ulicy, numeru domu!

Teraz korespondent mój zgodzi się pewnie, że to nie wszystko jedno pisać adres z rozważą, a nie byle jak. I wiem zgóry, że adresy odtąd będą pisane wedle jednego wzoru. List czytelnie, porządnie zaadresowany mniej ma szans zawieruszenia się. Nie klnie listonosz, nie marnuje bowiem oczu na odcyfrowanie literek i cyfr. Rozumie, że daleki jego bliźni za dziesiątą granicą — myślał i o nim, o jego biednych oczach, o jego ciężkiej pracy, kiedy list swój pisał. Musiał to być człowiek cywilizowany, oświecony. Wszyscy będą zadowoleni i list nie zginie i dojdzie adresata.

Do widzenia, kochani moi korespondenci!

SOBOTNIE GAWĘDY PROF. H. BEZMASKIEGO (O SZKOLE AMERYKAŃSKIEJ)

Nauczycielka geografji i historii w «Jutrzence» zwróciła się do prof. Bezmaskiego z prośbą: «Kochany Panie Profesorze, niech mi Pan pomoże ożywić wykład geografji. Uczniów mam dobrych i pilnych (choć niezawsze uważnych). Jednak mówią, że się nudzą na lekcjach geografji. Pan tyle świata widział, tyle umie i tak Pana dzieci lubią! Gdyby pan chciał w sobotę coś o Ameryce Północnej opowiedzieć! To taki trudny i rozległy przedmiot, a w szkole czasu mało. Najważniejsze rzeczy zdążą zaledwie opowiedzieć, nazwy, liczby — wszystko rzeczy suche, obciążające pamięć. Dzieci uczą się, ale się nudzą. Gdyby Pan chciał być dobry!»

...Nadeszła sobota i jak zwykle zebrały się dzieci w wielkiej sali na dole. Nauczycielka geografji i historii usiadła w pierwszym rzędzie, jej klasa rozsiadła się obok. Te dzieci były w szczególności rozpromienione. «Pan Bezmaski dziś dla nas ma odczyt» — mówiły dzieci, pchając się do pierwszych rzędów. Na katedrze stały kwiaty, wiadomo przez kogo zerwane i tam umieszczone.

Dużo było w tej wiązance polnych kwiatów — niezapominajek.

«Przyrzekłem — zaczął p. Bezmaski — opowiedzieć wam dzisiaj trochę o Stanach Zjednoczonych. Wielki to kraj, do niedawna «Nowym Światem» zwany, kraj bogaty i przez wszystkie narody świata zaludniany. Z historii i geografii wiecie, jak się utworzyły kolonie angielskie i holenderskie w Ameryce Północnej i jak się później kolonie te od Anglii oderwały i utworzyły własne, niezależne państwo, republikę amerykańską. Wiecie o tem, że pomocni Amerykanom byli i Polacy; po dzień dzisiejszy czczą w Ameryce Tadeusza Kościuszkę. Koloniści amerykańscy, tępiąc tubylców, Indian czerwonoskórych, posuwali się naprzód, zdobywając coraz więcej miejsca dla siebie, zakładali miasta, sprowadzali dalszych kolonistów z Europy. Kiedy odkryto żyły złota w Kalifornji, rzuciły się tłumy ludzi ze wszystkich stron ku dalekim stronom amerykańskim. Wtedy zawędrowali do Ameryki pierwsi Polacy, a za pierwszymi następni i fala ta trwa po dzień dzisiejszy. Opowiadają, że Polaków jest w Stanach Zjednoczonych trzy miliony. Są tam już i polscy milionerzy. Najwięcej jednak jest polskich robotników, którzy ciężko, niekiedy ponad siły pracują w kopalniach i fabrykach, aby zebrać trochę grosza,

oszczędności przywieźć, jak mówią w Ameryce, do starego kraju i kupić tam trochę ziemi, albo dokupić parę morgów do tych, które posiadali w chwili, kiedy wyjeżdżali z kraju. Polacy są rozrzućeni po całej Ameryce Północnej, żyją też gromadami wielkimi w New-Yorku (Niujork), w Chicago, w kopalniach Pensylwanji. Tworzą wielkie organizacje, wydają pisma. W Detroit (Ditrojt) myślą o założeniu uniwersytetu... Pewnie polscy milionerzy, którzy dorobili się olbrzymich majątków na budowaniu mostów i w różnych innych przedsiębiorstwach, za przykładem Amerykanów pomyślą i o uniwersytecie. Bo Ameryka jest takim dziwnym krajem, w którym uniwersytetów, bibliotek nie zakładają państwa, tylko, lub przeważnie tylko, ludzie prywatni. U nas w Europie, kiedy chodzi o zbudowanie jakiej pożytecznej instytucji naukowej, ludzie myślą przedewszystkiem o państwie. «Płacimy podatki, więc niechaj rząd wzamian buduje nam biblioteki, szkoły. A jeżeli nie rząd, to gminy, na których utrzymanie płacimy też wielkie niekiedy podatki, wzamian otrzymując źle utrzymywane ulice, złe bruki, mało ogrodów, drogie środki komunikacji». W Ameryce nikt nie ogląda się na państwo. Bogaci ludzie zakładają tam uniwersytety. Każdy z bogatych dorobkiewiczów, niekiedy źli bardzo ludzie, lichwia-

rze, wyzyskiwacze — widocznie w celu uspokojenia wyrzutów sumienia oddaje część majątku na cele szerzenia oświaty. Jeden Rockefeller, najbogatszy nacierz na świecie, wybudował uniwersytet w Chicago i podobno na ten cel oddał dotąd dwadzieścia milionów dolarów. Jest to jeden z najbogatszych na świecie uniwersytetów; pod względem urządzeń, gabinetów chemicznych; fizycznych, astronomicznych nie mogą z nim spółzawodniczyć uniwersytety europejskie; uniwersytet ten posiada najlepsze i najdroższe narzędzia, aparaty, teleskopy. Wydaje cały szereg pism naukowych, które kosztują wiele pieniędzy. Inni bankierzy założyli uniwersytety w Kalifornji, w New-Yorku i spółzawodniczą ze sobą pod względem ofiarności. Carnegie (Karnegi), robotnik, który dorobił się miliardów na fabrykacji żelaza i stali, napisał parę książek, w których poucza swoich braci-miljonerów, że majątku pozostawić po sobie nie należy. Jeżeli dorobiliśmy się fortuny, należy ją rozdać za życia. Zakładać szkoły, szpitale, budować biblioteki. Carnegie sam jest specjalistą od bibliotek publicznych, których podobno do dwustu sam wybudował w różnych miejscowościach Ameryki i Anglii (z pochodzenia Carnegie jest Szkotem i jako mały chłopiec wywędrował do Stanów Zjednoczonych, czyścił buty na ulicy i sprzedawał dzienniki!). Biblioteki

te są doskonale urządzone. Urzędnicy zachęcają do czytania, udzielają porad, co i jak czytać należy; gdzie są oddziały dla dzieci tak drobnych, że bibliotekarki-nauczycielki pokazują im obrazki, ucząc czytać, przyzwyczajając od lat najmłodszych do szanowania książki, do kochania skarbu, jakim jest książka dla człowieka (wtem miejscu Tadzio uszczypnął Adasia, albowiem wczoraj Adaś w książce «Mitologja grecka» podobiał atramentem wąsy i brody wszystkim boginom greckim i z tego powodu miał długą rozmowę z bibliotekarką...). To też dziecko amerykańskie prędko się rozwija i nigdzie nie widać tak wcześnie rozwiniętych dzieci jak w amerykańskiej szkole; niekiedy wprowadzają one w podziw, w zdumienie pytaniami, przytomnością umysłu, rozumieniem rzeczy, których w Europie i starsi niekiedy nie rozumieją wcale, albo z trudnością.

Tutaj profesor zaczął wspominać doświadczenia i nauki, które odebrać można w szkole amerykańskiej. «Pomyślcie — dzieci — gdyby, na nieszczęście, miał tu, w kochanej «Jutrzence» wybuchnąć pożar! Coby się u nas działo? Krzyk, popłoch. Jedni przez drugich zaczęliby uciekać. Zaczęliby się trawować na schodach, deptać po sobie, dusić. Wiadomo, ile nieszczęść było i wciąż się w Europie zdarza z powodu braku przytomności, z powodu

strachu, którego opanować nie umiemy i który sprawia, że najrozumnijsi i zazwyczaj przytomni ludzie tracą głowę i popełniają nieobliczalne w skutkach głupstwa. W Ameryce, w szkole uczą przytomności umysłu. Dyrektorka szkoły chciała nam pokazać, jak się dzieci tej cnoty uczą.

Zatrzymała się w korytarzu i zaczęła dzwonić na alarm: pali się!... Trzykrotnie zabrzmiał ponury dzwon. Przed nami w korytarzu stoi pianino. Ledwie przebrzmiało trzecie uderzenie, gdy otworzyły się drzwi i wyskoczyła na korytarz młoda nauczycielka, siadła do pianina i zaczęła grać wesołego, znanego marsza. Zaroiło się w całym domu. Dwu małych chłopców i dwie dziewczynki lotem strzały zbiegły z górnego piętra i ustawiły się pośrodku ostatnich stopni. Byli to «oficerowie szkolni», urzędnicy, obierani przez ogół uczniów i uczeń każdej klasy. Ich obowiązkiem jest dbać o porządek w klasie, o książki, o bibliotekę, o place zabaw.

Wnet na górnym piętrze pokazały się dzieci. Szeregami po troje z nauczycielkami na czele, śpieszyły na dół w takt marszu. Spoglądaliśmy z dyrektorką na zegarek. W trzy minuty cała szkoła — pięćset czterdzieścioro chłopców i dziewcząt, zdrowe i całe znajdowały się w dziedzińcu. Gdyby naprawdę był pożar w szkole, nie mógłby

był wcale rozszerzyć się prędkiej, a po upływie trzech minut wszystkie dzieci byłyby poza granicą niebezpieczeństwa... (Dyrektor «Jutrzenki» zapisał coś w notesie. «Pewnie i u nas, myśli Adaś, będzie fortepian stał w korytarzu!»).

Ale szkoła amerykańska uczy nie tylko przytomności umysłu. Uczy wielu rzeczy, o których nie słyszeliśmy nigdy. Uczy «civixs», kształcenia obywateli, nauki o państwie i o społeczeństwie.

W szkole trzynastoletni chłopiec, Czech z urodzenia, opowiada o urządzeniu prawnym, zwanym Recall. «Jest to — mówi — prawo zawieszenia w urzędzie sędziów, którzy władzę swoją, tak bardzo odpowiedzialną i nieograniczoną oddają na usługi różnych wielkich przedsiębiorców, towarzystw akcyjnych i kolejowych, szkodzących interesom prostych obywateli...».

— Co to jest referendum? — zapytała nauczycielka.

— Nazwa referendum oznacza, że obywatele powinni znać każdy projekt prawa, zanim się prawem stanie i mieć prawo albo projekt ten przyjąć albo odrzucić. A więc — w parlamencie posłowie przyjmują projekt prawa, zanim stanie się ono obowiązującym, musi pójść pod głosowanie ludowe i cały naród, wszyscy obywatele, mający prawo głosu, powinni zebrać się w gminach i orzec, czy

godzą się na to, aby projekt ten stał się prawem albo nie».

Wtem jedenastoletnia dziewczynka zaczyna mówić o stanach amerykańskich, w których kobiety posiadają prawo wyboru. Wymienia stan Colorado...

— Jak się nazywa stolica stanu Colorado? — przerywa nagle nauczycielka.

— Denver — woła cała klasa.

— A kto mieszka w Denver? — pyta dalej nauczycielka.

— Ben Lindsay! — wołają dzieci.

I jednocześnie zrywają się z miejsca, aby w kilka głosów opowiedzieć, co wiedzą o przyjacielu dzieci, o tak zwanym dobrym sędzi Lindsay'u twórcy sądów dla sądenia nieletnich. Dziewczynka, która odzywała się poprzednio, stara się przekrzyć inne dzieci, wołając, że to kobiety wybrały Lindsay'a, bo partje polityczne nie chciały go na sędziego. Chłopiec spokojnie i poważnie opowiada wszystko, co Ben Lindsay uczynił dla dzieci Denveru. Mówi o opiece nad sierotami, o opiece nad ulicznikami, o zbudowanym z betonu basenie kąpielowym w dzielnicy najuboższej miasta...

Inne dzieci mówią o prawach, obowiązujących w stanach Oregonu, Tennessee, Wyominga... Mija godzina, jak chwila.

Nauczycielka opowiada gościowi z Europy, który był obecny w szkole podczas tej godziny, że dzieci tej klasy bez jej wiedzy, z własnej woli wniosły podanie do Rady miejskiej, prosząc o zachowanie na placu zabawy dwu drzew, gdy te miały być usunięte. Dzieci podczas zabaw urządziły na tym placu zgromadzenia, protestujące przeciwko ponownemu wyborowi bogatego a nienawidzonego za różne nieuczciwości radcy miejskiego. Pisują do Waszyngtonu, do drukarni parlamentu amerykańskiego z prośbą o przysłanie tej czy innej książki, gdy słyszą od starszych albo czytają w dziennikach, że taki albo inny projekt prawa jest na porządku dziennym obrad i będzie dyskutowany...

...Na innej lekcji, prócz gościa z Europy, była obecna inspektorka szkół publicznych. Po lekcji zwróciła się do dzieci z przemową: «Dzieci — mówiła — jeżeli widzicie rzeczy, wymagające naprawy, jeżeli widujecie rzeczy, które wam się nieślusznymi wydają — mówcie tutaj o nich! Pomyślcie, cobyście same uczyniły, aby je naprawić. Pomyślcie, dlaczego rzeczy te są niedobre albo niesłuszne. Przyglądajcie się uważnie wszystkiemu, co się koło was dzieje».

«Dobrze, miss Kellog» — wołają dzieci — «będziemy uważali!»

— Dzieci — mówi dalej nauczycielka — mamy dziś przyjemność witać tu cudzoziemca. Zaśpiewajmy mu wszyscy jego rodzinną piosenkę.

Nauczycielka prowadzi cudzoziemca do biblioteki. Tu na długim stole spoczywają czasopisma bez różnicy poglądu politycznego. Jest i miesięcznik socjalistyczny, jest i dziennik socjalistyczny.

— Czytamy z dziećmi wiele politycznych artykułów. Jeżeli uważam, że dany dziennik wypowiada się lepiej i słuszniej w pewnej sprawie, odczytuję artykuł z tego dziennika.

Cudzoziemiec oniemiał.

— Szkoła amerykańska — tłumaczy dalej nauczycielka — widząc zdziwienie na obliczu gościa...

— Szkoła amerykańska nie jest fabryką, w której dzieci ładują wiedzę w dalszym życiu zgoła niepotrzebną. Jest to narzędzie, przy którego pomocy dzieci urabiają się na Amerykanów, na obywateli. Dzieci wszystkich narodowości dostają się do tygła, z którego wyleje się z czasem twardy metal przyszelej Ameryki.

Dzieciom wszystkich ras i ludów uciśnionych wpajają tu wiarę, że są ludźmi. W krajach, skąd przybyły przed wojną, nie wiedziały nic o prawach. Znały tylko obowiązki i prześladowania. Ich rodzice, przebywając czas dłuższy w naszym kraju, nie zdobyli tej wiary do końca życia. Ta

wiedza jest conajmniej tak ważna, jak tabliczka mnożenia i abecadło».

* * *

Tak wygląda szkoła amerykańska. Czy wiecie, że Stany Zjednoczone, licząc (1921) czterysta pięćdziesiąt tysięcy nauczycieli szkół ludowych i w szkołach tego kraju znajduje się siedemnaście do dwudziestu milionów dzieci. Dzieci dobrze uczonych, umiejących czytać już w piątym roku życia i od trzeciego roku życia spędzających nieraz godziny w bibliotece publicznej, w której specjalne nauczycielki pokazują dzieciom obrazki i czytają na głos tym, co jeszcze czytać nie umieją. Nic dziwnego, że w tym kraju musiał się narodzić Samorząd Szkolny.

Oto co opowiadają o nim sami uczniowie:

«Nauczyciel opowiadał nam o różnych formach rządu. Jest ich cztery: anarchja, despotyzm, patryarchat i samorząd. Pytał, jaki z tych rządów podoba nam się najwięcej. Głosowaliśmy wszyscy za samorządem. Myśleliśmy, że będzie nam wolno czynić, co się komu podoba.

Z początku wszystko szło jak najlepiej. Po krótkim jednak czasie zapomnieliśmy o prawach, opartych na obowiązkach i popadliśmy w anarchję (bezrząd). Nauczyciel ostrzegał, że nadużywanie wol-

ności prowadzi do jej upadku i prowadzi do niewoli. Ostrzegał, że przyjdzie tyran, co kajdany nałoży. Nie chcieliśmy mu wierzyć.

Pewnego popołudnia byliśmy sami. Hałasowaliśmy i kłóciliśmy się namiętnie. Nagle wchodzi przełożony szkoły. «Tak oto rządzicie sobą sami?» — zawołał. Za przełożonym wszedł i nasz nauczyciel. Popatrzał na nas i wyszedł. Nazajutrz przeczytaliśmy na tablicy następujące obwieszczenie: «Ludzie nadużywający wolności, powinni być przymuszani do wykonywania ustaw. Klasa kilkakrotnie już dowiodła, że jest niezdolna do wykonywania samorządu, odtąd rządzić nią będzie ustawa. Nie mamy więcej zaufania do was. Cokolwiek uczynicie odpowiadać będzie za to nauczyciel. On też rządzić wami będzie. Po każdej ukończonej lekcji pozostaniecie na miejscach dopóty, dopóki nie przyjdzie nauczyciel i zaprowadzi was tam, dokąd wysła was regulamin szkoły».

Po kilku dniach takiej bezwzględnej dyscypliny zaprowadzono listę wolności. Wpisywano do tej listy pokolei tych wszystkich uczniów, którzy zachowywali się nienagannie i z godnością znosili surowy regulamin. Lista ta zaczynała się od następującej uwagi: «Uczniowie wolni żyją swobodnie a nie pod rządami ustawy. Stosują się z własnej woli do regulaminu, którzy sami opracowali i za-

twierdzili, nie zaś do ograniczeń, które zostały im narzucone. Cieszą się zaufaniem nauczycieli. Nikt ich nie szpieguje. Nauczycieli uważają za przyjaciół, nie zaś za żandarmów. Rządzą się konstytucją, jaką sami uchwalą». Powoli lista ta zaczęła się zapełniać i dziś cała klasa jest do niej wpisana.

Z tego pomysłu urodziła się szkoła-społeczność, w ciągu kilku lat obiegła całą Amerykę, przepłynęła Ocean, przyjęła się w Wielkiej Brytanji, dotarła do Szwajcarji, do Niemiec, do Austrii. Wynalazca tej metody pedagogicznej p. Wilson-Gill, budując jej podstawy myślał o tem, że z dzieci tych rozwiną się obywatele, posiadający przeróżne prawa polityczne.

Zajdźmy na chwilę do jednej ze szkół amerykańskich, urządzonej według systemu Gilla.

Szkoła w Lagrange-City w Toledo, w stanie Ohio, jest społecznością. Każda klasa jest okręgiem wyborczym. Uczniowie z wyjątkiem najmłodszych są wyborcami. Uczniowie dwu klas najwyższych mogą być wybierani. Wójt należy do klasy najwyższej. Mandat jego trwa sześć miesięcy. To znaczy, że wybory powtarzają się dwukrotnie w roku. Na tydzień przed wyborami odbywa się zgromadzenie przygotowawcze, prowadzone przez uczniów, którzy znają już zasady prowadzenia zgroma-

madzeń publicznych. Uczniowie proponują kandydatów na urzędy szkolne. Wolno im mówić, co wiedzą o kandydatach z tem jedynem zastrzeżeniem, aby nie oczerniali kandydatów, którzy im się nie podobają. Zdarza się, że uczniowie żądają od nauczycieli opinii o kandydatach na piśmie i opinie te odczytują publicznie. Skutek tych pochwał lub nagan, wypowiedzianych publicznie wobec całej zgromadzonej szkoły, ma być nadzwyczajny.

Dzieci ujawniają dużo taktu, zdrowego rozsądku i dowcipu. I tak, zdarza się, że inspektorem czystości mianują największego brudasa wśród kolegów, uważając, że wykonywanie obowiązków, któremi zaszczytali go koledzy, zmusi go do przestrzegania czystości w stosunku do własnej osoby.

Raz wybrany mer (wójt) — bez różnicy płci — powinien przedstawić się zgromadzeniu. Wybierają jeszcze sędziego, skarbnika, sekretarza, inspektora sanitarnego, który dobiera sobie dwu pomocników. Wszyscy ci urzędnicy naradzają się z przełożonym szkoły we wszystkich kwestjach dotyczących szkoły, jak budynków, mebli i organizacji wewnętrznej. Przełożony poleca im uzdrawianie stosunków, któreby wymagały interwencji komisji dyscyplinarnej. Zgłaszają też podania do przełożonego w sprawach higieny. Mają wszystkie sprawy. Mu-

szą być posłuszni jednemu nakazowi: nie wolno im udawać policjantów. Powinni ostrzegać i uprzedzać kolegów. Co miesiąc działalność tych urzędników podlega krytyce zgromadzenia wyborców. Jest to coś w rodzaju sejmiku sprawozdawczego. Urzędnicy odczytują raporty. I tak: inspektor sanitarny skarży się, że «klasa siódma pomimo wszystkich ostrzeżeń, wielokrotnie ponawianych, pozostała brudna». Albo uczeń skarży się na inspektora sanitarnego, który zapowiedział, że mu kości połamie, jeżeli nie będzie przestrzegał czystości na ławce, albo w pulpicie. Zgromadzenie stwierdza publicznie, że zapowiedź taka nie ma charakteru sanitarnego i że inspektor zasługuje na nagane.

Wójt — niekiedy «wójcica» — wykonywa nadzór ogólny. Mianuje dozorców, którzy przestrzegają, aby uczniowie wycierali nogi i nie czynili zbyt wielkiego hałasu, wchodząc do klasy. Skarbnik zarządza kasą szkolną. Z funduszków składkowych urządzane bywają wycieczki, albo kupują np. kwiaty, które delegacja zanosí choremu koledze.

Najwięcej pracy przypada w udziale inspektorowi zdrowia. Pracowitość ich i wytrzymałość jest wyższa nad wszelkie pochwały.

Zgromadzenie mianuje też dwu bibliotekarzy (albo bibliotekarki), którzy czuwają nad tem, aby

uczniowie nie niszczyli książek ani pomocy naukowych, to znaczy przyrządów, map, zbiorów. Posiadają narzędzia, odświeżają oprawy książek. Ma to specjalne znaczenie w Ameryce i tam w ten sposób dzieci uczą się szanować własność publiczną i społeczną.

W niektórych szkołach istnieją sejmy. Każda klasa wybiera dwu deputowanych: płci męskiej lub żeńskiej. Parlament układa regulamin, którym szkoła ma się rządzić. I o dziwo, nauczyciele przeważnie starać się muszą, by regulamin ten nie był zanadto surowy i aby kary nie były na zbyt bezwzględne. Sejm zabrania wchodzenia na podwórze szkoły z tykami, kijami, procami i t. p., albo zakazuje hałasów przed biblioteką. Cukiernik pobliski skarży się sejmowi, że uczniowie wystają przed jego sklepem i przyglądają się publiczności zjadającej ciastka. Nie trudno się domyśleć, że gdyby zakaz tej rozrywki wychodził od nauczyciela, nie byłby wcale albo też niechętnie wykonywany. Wywołałby, być może, skutek wręcz przeciwny oczekiwanemu.

Kary za przewinienia wyznaczone bywają przez trybunał. «Stawisz się przed sądem w terminie najbliższym». Winowajca nie poważy się nie posłuchać: utraciłby w tym wypadku wszystkie prawa obywatelskie. Kary są różne i nauczyciele mu-

szą przestrzegać, aby nie były zbyt okrutne. Oto jakie w szkole amerykańskiej stosują kary: ostrzeżenia, skaranie warunkowe, usunięcie czasowe z pola zabaw, przymusowe pozostawanie w klasie podczas rekreacji, bojkot towarzyski, wreszcie kara najwyższa: przymus uczenia się napamięć wierszy.

Nauczyciele powiadają, że sesje sądowe są dla nich niewyczerpanym źródłem nauki. Tam najlepiej poznają uczniów swoich. Pełni są też podziwu dla zdrowego poczucia sprawiedliwości u uczniów.

Błogosławiony kraj, w którym miłość i szacunek są źródłem autorytetu nauczyciela i w którym dziecko od najwcześniejszych lat młodości nabywa świadomości, że jest członkiem społeczności, że ma prawa, a przede wszystkim obowiązki, że prawa te i obowiązki są jedne i równe dla wszystkich.

Profesor zmęczył się. Mówił przeszło godzinę. I słuchacze byli już zgorączkowani. Widać było, że opowiadanie o szkole amerykańskiej bardzo ich zajmowało, że uważnie słuchali w ciągu godziny, że mózgi pracowały, że dzieci wiedziały naprawdę, co się dzieje w szkole amerykańskiej. Profesor powiedział tedy, że na dziś będzie dosyć. «Zapamiętajcie sobie, czego się można w szkole amerykańskiej nauczyć. Innym razem opowiem wam o innych jeszcze szczegółach życia amerykańskiego.

Nie wszystko jest piękne w Ameryce, są tam rzeczy i bardzo brzydkie i bardzo niedoskonałe. Doskonałości na świecie niema. (Tadzio jest dobry filolog, ale nie umie nigdy lekcji fizyki, a Władysław, zwany Laskonogim — nie ma zdolności do języków). W wolnej chwili opowiem wam o złych stronach życia amerykańskiego. Ale dziś zapamiętajcie sobie, co tam można ładnego zobaczyć, i co was jako uczniów w szczególności obchodzi».

Profesor wyjął z wiązanki kwiatów parę niezapominajek i wetknął je do dziurki od surduta. A resztę oddał dzieciom. Tak skończyła się pogadanka amerykańska.

Z W I Ą Z K I D O B R O C I

W Bostonie, wielkiem i bogatym mieście Ameryki Północnej, pracował robotnik, który wszędzie uchodził za dziwaka. Widywano go w dniu świątecznym, od pracy wolne, w sobotę popołudniu — (albowiem w Ameryce i w Anglii robotnik w sobotę pracuje tylko do południa) — jak otoczony ulicznikami przechadzał się po mieście, siedywał w ich otoczeniu po parkach i na skwerach, rozmawiał z nimi. Chłopcy bosy, obdarci garnęli się do robotnika. Ludzie w całym mieście znali tę gromadkę i gdy widzieli, jak zdaleka sunęła, środkiem ulicy z przewodnikiem na czele, mówili do siebie: «Oto znowu ten warjat z łobuzami. Doprawdy, policja powinna zakazać tych przechadek, jeszcze co złego z tego się narodzi...» Ale że policja ma w tych krajach co innego do roboty, niż rozpędzać przechadzających się przechodniów, więc dziwaka zostawili w spokoju i przechadzki trwały bez przerwy. Dziwiono się, że «łobuzi» nie kłócili się, nie bili się, słuchali przewodnika, słuchali się wzajemnie. Zdarzyło się,

że któryś zcicha zapłakał, śmieli się często i serdecznie.

Pewien nauczyciel, zaciekawiony tem dziwnem towarzystwem zbliżył się podczas takiej przechadzki do gromadki, aby posłuchać, o czem mówią uczestnicy przechadzek w łańchmanach. Robotnik, człowiek stary, siwiejący już i spracowany, dał mu swój adres i zaprosił do siebie na najbliższą sobotę. Tu nauczyciel dowiedział się, że ci biedni chłopcy tworzą związek, «Związek dobroci». Stary robotnik zbiera ich po zaułkach, jedni drugich sprowadzają i gdy się koło przewodnika zgromadzą, obowiązani są opowiadać, co w ubiegłym tygodniu dobrego uczynili. Robotnik opowiedział, ilu już takich chłopców znał, ilu namówionych przez niego, pod wpływem rozmów, prowadzonych na przechadzkach w jego izbie, przy kominię, zmieniało się zupełnie, zaczynało uczęszczać do szkoły, starało się dobrze uczyć; zamiast o psotach nierozumnych, często szkodliwych, zaczynali myśleć o dobrych uczynkach. Wielu wyszło na ludzi, zostało porządnymi robotnikami po fabrykach, dzielnymi rzemieślnikami, kilku najzdolniejszych uczyło się dalej w szkołach wyższych. Robotnik, założyciel stowarzyszenia, które zapomniane dzieci wielkiego miasta zamierzało przeobrazić w obywateli, w braci jednej rodziny ludz-

kiej — powiedział nauczycielowi, że gromadkę swoją nazywa Ligą dobroci.

Nauczyciel zamyślił się. Zdziwił się, że prosty człowiek, który żadnej akademji nie kończył, mógł wpaść na tak piękną myśl i tak doskonale ją wykonał. Pomyślał o własnych swoich uczniach, wśród których tylu było niesfornych i niegrzecznych chłopców. Klócili się w szkole, wzajem czynili sobie krzywdy, na ulicy skarżyli się na nich przechodnie. Nauczyciel pomyślał: czemu moi uczniowie mają być gorsi od uliczników?

Po kilku dniach zebrał po lekcji kilkunastu uczniów w klasie i przemówił do nich. «Wszyscy ludzie na świecie tworzą związki. Wasi ojcowie, matki, starsi bracia i siostry należą do stowarzyszeń, nie tylko do stowarzyszeń gry w tenisa, czy piłkę nożną, ale do różnych innych stowarzyszeń, do stowarzyszeń politycznych, zawodowych. Chodzą na zebrania wieczorem i w święta, są prezesami i sekretarzami, przemawiają publicznie, namawiają ludzi, aby wódki nie pili, aby papierosów nie palili, aby uczyli się, czytali, aby wybierali uczciwych ludzi na radców miejskich, uczęszczają na zgromadzenia, gdzie układają ustawy». A chłopcy dalejże wyliczać stowarzyszenia, o jakich w domu słyszeli: «Przyjaciele zdrowia», «Lira bostońska», stowarzyszenie taneczne «Bostonka», liga wstrzemięźliwości pod nazwą

«Precz z kieliszkiem»... Nauczyciel słuchał i rachował, a kiedy chłopcy, zmęczeni, przestali wymieniać nazwy często śmieszne, powiedział: «Naliczyłem dwadzieścia trzy stowarzyszenia, a wśród nich nie wymieniliście ani jednego, do którego wy byście należeli... Otóż chcę założyć stowarzyszenie, do którego wy będziecie należeli». Chłopcy spoglądali na siebie i na nauczyciela z niedowierzaniem. «Jakto — powiedział po chwili jeden bardzo odważny Jack, hultajem w szkole zwany — my, chłopcy ze szkoły?» — «Tak, odrzekł nauczyciel, wy i tylko wy sami; nie będzie w tem stowarzyszeniu ani rodziców, ani nauczycieli, nie będzie starszych. Wy sami będziecie sobą rządzili, wybieriecie przewodnika, — prezesa i sekretarza. Każdy, kto do stowarzyszenia będzie należał, zobowiąże się codziennie spełnić dobry uczynek w domu, czy na ulicy, w szkole czy w parku podczas zabawy. Zobowiąże się mówić zawsze prawdę i przyznawać się szczerze do wszystkich złych uczynków. Zobowiąże się nie krzywdzić nigdy ani człowieka, ani zwierzęcia, szanować i kochać wszystko, co żyje opuszczone i bezbronne». Chłopcy ucieszyli się. Odtąd i oni należeć będą do stowarzyszenia, które nauczyciel nazwał Ligą Dobroci. Przystąpiło zaraz szesnastu; ośmiu powiedziało, że się namyśla, że zapytają rodziców. Po

miesiącu do Ligi Dobroci należeli chłopcy ze wszystkich klas szkolnych, a po roku we wszystkich szkołach Bostonu były Ligi Dobroci. Nie można było poznać dawnych niesfornych chłopców: stali się poważni, uczynni, dobrzy. Dawne figle, obrzucanie kamieniami, piaskiem, oblewanie wodą kolegów i przechodniów, wyśmiewanie się ze źle ubranych biedaków, przedrzeźnianie kalek — ustało. Przeciwnie. Na każdym kroku można było zauważyć, jak dzieci starają się czynić dobrze. Idzie węglarz ulicą. Toczy w górę swój wózek, naładowany węglem. Ledwie posuwa się naprzód. Wyteża wszystkie siły. Pot spływa mu z czoła po czarnej od węgla twarzy. Nagle spostrzegli go wracający ze szkoły uczniowie. Sześciu najstarszych śpieszy do węglarza z pomocą. Schodzą z chodnika na ulicę, chwytają za dyszel, ramionami podpierają wózek, który toczy się rażniej pod górę. Węglarz nie umie wyjść ze zdziwienia. Myślał w pierwszej chwili, że czeka go przeprawa z wesołymi ulicznikami, którzy gotowi przewrócić jego wózek i ciężką mu wyrządzić krzywdę. A tu nagle taki objaw miłości i miłosierdzia nad jego starością i ciężką pracą. Gdy byli na górze, chłopcy zapytali, czy ich pomoc potrzebna dalej. Węglarz podziękował. Zdjęli czapki i chcieli odejść, gdy robotnik poprosił o pozwolenie

uściśnięcia im rąk na znak pożegnania. Chłopcy podali ręce i szczyli się później sadzą, która na ich rękach została.

Nauczyciele szkoły bostońskiej napisali o Lidzie dobroci w piśmie nauczycielskiem. Wiadomość obiegła całą Amerykę Północną i we wszystkich prowincjach wnet zaczęto zakładać Ligi Dobroci. Przed wojną należało do Ligi dobroci w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej siedm miljonów dzieci.

Ligi dobroci zaczęły za przykładem Ameryki powstawać i w innych krajach. Najpierw w Anglii, później we Francji. Wszędzie dzieci obowiązują się nie kłamać, mówić prawdę, być szczeremi ze sobą i z nauczycielem, codzień czynić coś dobrego w szkole albo w domu, względem kolegi, rodziców, służących, przechodniów, żebraków, wreszcie wobec zwierząt, nie męczyć psów albo kotów, prosić woźniców, aby nie bili koni i tak dalej. We Francji w szkołach, w których istnieją Ligi Dobroci zaprowadzono skrzynki do listów; w każdej klasie znajduje się skrzynka, do której uczniowie wrzucają kartki z wiadomością o dobrym uczynku, spełnionym przez kolegę. Wiadomość powinna być nie podpisana. W szkołach francuskich są lekcje moralności. Na najbliższej lekcji nauczyciel otwiera skrzynkę, wyjmuje notatki, układa

je, wylicza najlepsze uczynki i tłumaczy uczniom, dlaczego te, a nie inne uważa za najlepsze. Ci, co spełnili dobry uczynek, nie otrzymują żadnej nagrody. Wystarcza im, gdy nauczyciel pochwalił uczynek, nie osobę, która go spełniła. O pewnej szkole dla dziewcząt w Bordeaux (Bordo) nauczycielka opowiada, że odkąd założono tam Ligę Dobroci zauważyła, że starsze dziewczynki opiekują się z nadzwyczajną pieczołowitością młodszymi, powtarzają z nimi zadania, w dniu świąteczne schodzą się, aby z mniej zdolnymi powtarzać lekcje. Pewnego dnia, opowiada ta sama nauczycielka, wesola i krzykliwa szkoła stała się nagle spokojną i poważną. Mija dzień jeden i drugi — spokój i powaga trwają dalej. Nauczycielka zdziwiona nagłą zmianą, pyta o powody, dla których dziewczynki przestały dokazywać, nie biegają, nie hałasują. Słyszy w odpowiedzi, że jeden z nauczycieli, zamieszkały w sąsiedztwie jest umiarkowany... Dzieci należące do Ligi Dobroci, uważały, że powinny w ten sposób wyrazić współczucie swoje dla przewodnika, który życie swoje poświęcił ich kształceniu.

Nie wiem, czy w szkołach polskich istnieją Ligi Dobroci, których członkowie starają się kształcić i doskonalić, nie wyrządzać nikomu krzywdy i nie pozbawiać żadnej sposobności niesienia pomocy innym?

S Z K O Ł A D O B R O C I

Znajomej mojej, lekarce z zawodu, przytrafił się smutny wypadek: upadła na ulicy i złamała nogę. Ulica była odludna, słabo oświetlona. Mróz siarczysty. Biegła do pacjentów i na dziesięć kroków przed celem podróży, upadła. Nieszczęśliwa słyszała dokładnie jak pękały jej kości. Rozumiała, że nie powinna zmieniać pozycji. Przechodziły dwie wiejskie kobiety. Chciały podnieść: «Nie ruszajcie mnie. Idźcie, jeżeli mi chcecie pomóc, pod numer 49 i poproście, aby tu przyszedł pan S...ki». Kobiety poszły. Czy nie zrozumiały, czy zapomniały adresu, dość, że interwencja ta zawiodła. Chora leżała dalej. Nie chciała się położyć na zimnym, lodem pokrytym bruku, myślała, że może płuca odmrozić. Przechodził mężczyzna: «Czy mogę pomóc Pani?» Chciał podnieść.

— «Niech mnie Pan nie rusza. Złamałam nogę. Czekam na pogotowie. Może Pan zajdzie do państwa S...kich pod numer 49 i poprosi, żeby tu przyszli. Trzeba telefonować po Pogotowie».

Mężczyzna odszedł. Nadeszła niewiasta.

— «Czy mogę co dla Pani uczynić?» — zapytała.

— «Dziękuję. Nie mogę się ruszyć. Muszę siedzieć tak».

— «Bez oparcia?»

— «Tak. Boję się, że płuca odmrozę, jeżeli się położę. Posłałam prosić znajomych, aby telefonowali po Pogotowie».

— «Czy mogę choć podeprzeć Panią?» I nieznajoma usiadła na ziemi, i plecami podparła chorą.

— «Jaka Pani dobra! Pani nie wie wcale, jaką mi Pani ulgę sprawia. Ale jak można tak zdrowia nie szczenić? Pani się przeziębii».

— «Jestem ciepło ubrana». I zaczęła z chorą prowadzić rozmowę. O pogodzie, o zawodzie lekarskim, o dzieciach. Mijały kwadranse. Przybył pan S...ki. Zaczął telefonować. Pogotowie posiadało mało karettek. Nie może tedy jeździć na każde zawołanie. Policja sprawdza, czy wypadek jest naprawdę groźny. Zanim Pogotowie wytelefonowało policję, a posterunkowy zdążył zajść na odludną ulicę i stwierdził, że wypadek jest naprawdę groźny, minęła godzina. A nieznajoma wciąż siedziała na złodowacialej ziemi i podpierała chorą lekarke. Wreszcie przyjechał lekarz Pogotowia. Ułożono chorą na noszach i odwieziono do szpitala.

Wypadek ten, zdarzył się w Warszawie, pewnego zimowego wieczoru przy ul. Polnej. Nie jest

to żaden wymysł literata. Fantazja moja nie do-
dała tu nic do rzeczywistości życia. Przeciwnie,
sucha opowieść odjęła i barwę i ciepło wypadko-
wi, gdy pióro opisać chciało. Wykrawek życia,
wycięty z obrazu pewnego, określonego wieczora
w Warszawie...

CO TO JEST BOHATERSTWO?

Spieraliście się, kochani chłopcy, na czym po-
lega bohaterstwo i postanowiliście mnie zapy-
tać o radę. I kiedy brałem za pióro, aby wam
odpisać, przynieśli dzienniki wieczorne. Człowiek
jest ciekaw, co się na świecie dzieje, a co w kraju
słyszać? Odłożyłem tedy pióro, nie przewidując,
że odpowiedź na wasz list znajdę w gazecie. Po-
słuchajcie. Oto, com przeczytał w gazecie.

Wczoraj nad ranem zdarzył się na jednej z kolei
żelaznych Paryża wypadek. Zamordowano dróż-
nika. Stało się to w nocy podczas, gdy dróżnik
nastawiał zwrotnicę. Zabójcy zaczęli się i korzy-
stając z nocy, strzałem, skierowanym w oczy,
zamordowali nieszczęśliwego robotnika. Rano do-
wiedziały się o tem gazety, policja zaczęła czynić
poszukiwania. Opinia publiczna, robotnicy kole-
jowi, przejęci grozą tego nieszczęścia, podnieśli
wielki hałas. Cały Paryż zaczął mówić o tym wy-
padku. Ale nie tylko ze względu na tragiczną śmierć
robotnika. Więcej jeszcze ze względu na towarzy-
szące mu okoliczności. Otóż obowiązki zwrotni-

czych na tej stacji pełniło małżeństwo. On czuwał w nocy, małżonka czuwała w dzień. Późnym wieczorem dróżniczka zaniósła mężowi filiżankę kawy, wróciła do domu i położyła się spać. Ledwie zasnęła, gdy obudził ją krzyk, jęki. Zerwała się. Poznała głos męża. Nieubrana pobiegła za krzykiem. W budce zwrotniczej leżał dróżnik w kałuży krwi i jęczał; był bezprzytomny. Zaczęła wołać sąsiadów. Zbiegli się robotnicy. Ponieśli nieszczęśliwą ofiarę. Trwało to chwilę tylko, zanim go położyli na łóżku. Ledwie położyli, wydał ostatnie tchnienie. Dróżniczka jednak niedługo płakała, klęcząc koło łóżka. Przypomniała sobie, że za chwilę pociąg nadbiegnie, że jeżeli zwrotnica nie będzie nastawiona, pociąg pośpieszny może wpaść na inny towarowy, olbrzymi pociąg o nieprzeliczonej ilości wagonów, wekslujący po tej samej linii. Może stać się wypadek, ludzi mnóstwo może zginąć. Te myśli jak błyskawica przebiegły jej przez głowę, wstała, pożegnała ukochane zwłoki i pobiegła na stanowisko. Wszystko to trwało kilka minut. Dróżnicy zapisywać muszą do książki każdy pociąg, który puszczają na linię. Ostatni pociąg, puszczony przez zmarłego dróżnika, był zapisany pod godziną 3 minut 5. Pierwszy, który puściła dróżniczka przeleciał o godzinie 3 minut 15. W ciągu dziesięciu minut co przeżyła ta kobieta! Ugodziło w nią

okrutne nieszczęście, straciła męża, który na jej rękach ostatnie wydał tchnienie. Nie mogła go spokojnie opłakać. Pobiegła, dokąd obowiązek wzywał, surowy, bezwzględny obowiązek. Opanowała siebie, swoje nieszczęście, swoją mękę. Z bólem w sercu, z przerażeniem w oczach stała koło aparatu w ciągu trzech długich godzin. Dopiero o szóstej rano nadjechały władze kolejowe i zastąpił dróżniczkę inny robotnik. Wytrwała. Nie omyliła się ani razu. Dokonała czynu bohaterskiego.

Ten czyn zadziwił, uderzył całą Francję. Zarząd kolei zażądał od rządu Rzeczypospolitej, aby przyznano dróżniczce wielki medal zasługi, przeznaczony dla zasłużonych urzędników kolejowych, którzy złożyli dowody wielkiej odwagi. Od siebie, jak mówi, tymczasem przeznaczył tysiąc franków na pierwsze potrzeby.

Ten przykład wyjaśni, jak należy rozumieć bohaterstwo. Aby się ludziom nie zdawało, że jest takie wyjątkowe, gazety francuskie przypomniały inny podobny, który zdarzył się niedawno, przed paru laty, w tej samej Francji. Koło wybrzeży bretońskich pełno jest skał podwodnych, droga jest niebezpieczna. Pobudowano tedy wiele latarni morskich, które rzucają światło na daleką przestrzeń, ostrzegając rybaków, a także wielkie statki przed grożącym niebezpieczeństwem. W jednej z takich

latarni urzędował latarnik Matelot, który ciężko chory, pewnej nocy nagle prawie umarł. Żona jego nie wiedziała, co począć. Znikąd żadnej pomocy. Nikt w ciągu nocy nie zauważył żadnych znaków ostrzegawczych, które dawać zaczęły. Jeżeli od latarni odejdzie, latarnia może zgasnąć. Tem bardziej, że na morzu szaleje burza. Wicher dmie straszny, północny. Ułożyła tedy nieszczęsna kobieta małżonka i sama powędrowała na latarnię. Spędziła tam noc całą. Spędziła dzień cały następny, bo z powodu burzy nawet żywności z portu do latarni przynieść nie mogli. Upadała ze zmęczenia, odchodziła od przytomności. Pomogły jej dzieci. Wytrzymała na stanowisku. Na trzeci dzień przyjechała łódź z żywnością. Dowiedział się przewoźnik, że latarnik umarł. Zabrał jego ciało z sobą, aby pochować na cmentarzu portowym. Latarniczka została. Dopiero na czwarty dzień zjawił się następca. Mężna, bohaterska kobieta wytrzymała do końca. Nie zawahała się. Opanowała ból swój, straszne nieszczęście, głód, łzy, płacz dzieci. Czterdzieści osiem godzin nie schodziła z posterunku. Dawała znaki. Ostrzegała. Niby żóraw nad stawem czuwała — nad łodziami rybaków, powracających do domu, zbłąkanych, pędzonych przez wicher ku zgubie najpewniejszej. Iluż ludzi uchroniła od śmierci! Iluż rodzinom pomogła zachować ojców,

mężów?... Bohaterką była w najpiękniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Oto, co wam zamiast odpowiedzi na list wasz kochany przesyłam. Różne bywają rodzaje bohaterstwa. Czytaliście w wypisach historycznych o Winkelrydzie, który stu lancami przebić dał własne piersi, broniąc towarzyszków. Czytaliście o obronie Trembowli. Pomyślcie też o tych cichych bohaterkach obowiązku, których czyny wam opisałem. Wielbię te czyny, które przynoszą wielki honor Francji i ludzkości.

LODOWY KOPIEC BOHATERÓW

I

Dawno już, od stu pięćdziesięciu lat podróżnicy próbowali odkryć biegun południowy. Pierwszy, wielki podróżnik angielski Cook (czytaj Kuk), wybrał się w tę podróż. Dojechał do 71° szerokości połudn. geogr. Przebijał się przez olbrzymie góry lodowe, uciekł pośpiesznie zpowrotem, opowiadając straszne rzeczy o trudach i niebezpieczeństwach wyprawy. A było to przecież w odległości dwudziestu jeszcze stopni od punktu, zwanego biegunem. Ponawiano próby w ciągu całego dziewiętnastego stulecia. Wszystkie narody szły w zawody o to, który posunie się dalej. Odważni podróżnicy, niezrażeni niepowodzeniem poprzedników, próbowali przedzierać się przez góry lodowe. Anglik Ross w roku 1840 posunął się do 78°. Odkrył ląd stały, który na cześć królowej angielskiej nazwał Ziemią Wiktorji. Z wypraw późniejszych wzmianka należy się wyprawie belgijskiej de Gerlache'a, w której uczestniczył nasz geograf Arctowski, oraz oficer norweski, Amundsen. W roku

1902 Kongres międzynarodowy postanowił uczynić wszystko, co można, aby dotrzeć do bieguna południowego. Anglicy, obecni na tym kongresie, zastrzegli sobie pierwszeństwo do drogi, zapoczątkowanej przez Rossa. Wnet zorganizowali też wyprawę pod dowództwem kapitana marynarki, Scott'a. Trzy lata bawił Scott w okolicach podbiegunowych. Posuwa się dalej niż odważny jego poprzednik Ross (do 82°). Odkrywa ląd stały, nazwany Ziemią Edwarda VII, panującego podówczas króla angielskiego. Przebija się przez lodowiec, którego trudno dostępna, nierówna, pełna niebezpieczeństw powierzchnia wydawała się Ross'owi nieprzebytą. W następnym roku, po ciężkiej walce z żywiołami dociera do lodowców na ziemi Wiktorji i tutaj na wysokości trzech tysięcy metrów odkrywa lodową, nieskończenie wielką płaszczyznę. Scott obliczył, że droga Rossa prowadzi do bieguna, że jest do przebycia, że od zwałów lodowych, u których zatrzymał się niegdyś Ross jest trzy tysiące kilometrów do przebycia, w jedną i drugą stronę. Ażeby drogę tę przebyć w ciągu lata podbiegunowego, trwającego cztery miesiące od listopada do lutego, trzeba co dnia przebyć przestrzeń dwudziestu pięciu kilometrów, co nie jest ponad siły ludzkie. Droga była trudna, ale charakter jej był wiadomy.

W roku 1907 oficer, który towarzyszył Scottowi, Shackleton — na własną rękę przedsięwziął podróż do bieguna. Śród niebezpieczeństw niewysłowionych, marznąć przy trzydziestostopniowym mrozie, pędzeni strasznym wichrem północnym, z trudem zdobywając wzgórza lodowe i spadając w głębokie, śniegiem wypełnione wąwozy, Shackleton i jego towarzysze dochodzą do 88° szerokości geograficznej. Znajdowali się na wysokości 3300 metrów. Do bieguna pozostaje już tylko 170 kilometrów. Pomyśleć tylko: nie dalej jak z Mławy do Wielunia! Jakżeby umysł ludzki, fantazja ludzka, odwaga ludzka miały się zatrzymać przed jakimibądź przeszkodami, choćby największymi, najbardziej niebezpiecznymi, gdy o tak niewielką już chodzi przestrzeń. Biegun znajduje się napewno na tym samym lodowcu. Shackleton widział też wyraźnie, że płaszczyzna lodowa tej samej wysokości ciągnie się bez końca. Trzeba tedy iść dalej. Jeżeli starczyło męstwa, aby dojść do 88-go stopnia, znajdzie się odwaga, aby przebyć dwa ostatnie stopnie. Trzeba tylko mądrze, roztropnie urządzić wyprawę. Shackleton i jego towarzysze cierpieli głód. Nie mogli zabrać więcej zapasów, zabrali ich za mało. Liczyli na trzy miesiące drogi, a byli w drodze cztery miesiące.

Anglja tedy postanowiła urządzić jedną jeszcze, ostateczną już wyprawę do bieguna południowego. Miał ją prowadzić znany kapitan Scott. Ponieważ wiadome już były wszystkie przeszkody, więc wystarczy o nich pamiętać, aby je przezwyciężyć. Liczono z całą pewnością, że Scott dotrze do bieguna na przełomie 1911 i 1912 roku i dźwignie na biegunie sztandar angielski.

Wyprawa wydawała się tak łatwą, że zaczęła budzić zazdrość. Czemu Scott ma być tym szczęśliwym podróżnikiem, który dojdzie tam, dokąd nie dochodził dotychczas nikt z tych odważnych, wielkich podróżników, którzy mu drogę utorowali? Znalazł się jeden, którego nazwisko wymieniliśmy wyżej, Roald Amundsen, a który powiedział sobie: «Czemu ja nie mam skorzystać ze wszystkich doświadczeń angielskich? Spróbuję, może będę szczęśliwym i zdobędę nie tylko dla siebie, ale i dla Norwegji sławę odkrycia bieguna!». Nie mówiąc nikomu nic, nawet towarzyszom podróży, ruszył Amundsen w drogę i pokryjomu, chyłkiem po wypoczynku u wybrzeża Madery popłynął ku zwałom lodowym Rossa. Uzbrojony w całe doświadczenie podróżników podbiegunowych, wytrzymały, odważny, uczestnik kilku wypraw, Amundsen doskonale przygotował ich do podróży. Zabrał ze sobą skya, psy eskimoskie, wytrzymałe i lekkie, mało

wymagające, żywione mięsem braci własnych, pna się one doskonale w górę po śliskim lodowcu. W chwili wylądowania na lodowcu Rossa, Amundsen posiadał sto psów. W lutym 1911 r. statek «Amundsen» odpływa z zatoki Wielorybiej, pozostawiając na miejscu dziewięciu ludzi. Ci posuwają się naprzód, zostawiając po drodze składy prowiantu. Dochodzą do 82°. Na tej szerokości przebywają miesiące zimowe, a 19 października Amundsen z czterema towarzyszami rusza w drogę. Cztery pary sani i 48 psów—to cały obóz jego. Na każdym stopniu pozostawia zapas żywności. Każdy skład znaczony słupami ubijanemi ze śniegu, obity trziną bambusową, deskami wbijanemi pionowo. Najgorszą była droga pomiędzy 85° a 88°—przepaści wypełnione śniegiem, zadymki, mgły, lodowiec wielki, przezwany przez Amundsena Czarcim Lodowcem, wreszcie olbrzymie przestrzenie, wypełnione tak miękkim śniegiem, że ginęły w nim psy. Ale później droga poprawia się. Temperatura spada do —30° i 14 grudnia, na wysokości 3070 metrów Amundsen, Helmer Hanssen, Wisting, Hassel, Bjaaland—towarzysze norwescy, na punkcie zwanym biegunem południowym, wbili pierwszy sztandar europejski, sztandar Norwegji. Szczęście sprzyjało ich powrotowi. 25 stycznia wrócili do obozu zimowego. Cała podróż, tam i zpowrotem, trwała 99 dni.

Natura podbiegunowa nie mogła jednak znieść spokojnie, aby człowiek bezkarnie zdobył jej tajemnice. «Jakto!—mówiły do siebie lodowce, wichry, zadymki—więc już i biegun przestał być tajemnicą. Człowiek, co wszystko chce wiedzieć, wszystko poznać, wydrzeć naturze wszystkie jej tajemnice, wszystkie jej siły opanować—dotarł i tutaj, w te straszne, ponure strony, gdzie wiekuista zima strzeże, aby życie tu nie powstało, aby nie brzmiał głos człowieka!... Nauczmy śmiać, że gdy zechcemy, w proch zetrzemy jego odwagę, jego wielkie mniemanie o sobie».

Amundsen pisał w dzienniku swoim: «Jakto—to tak łatwo dotrzeć do bieguna! To takie proste! To wcale nie tragiczne!»

Sądzone było wnet innemu podróżnikowi przekonać się, jaka to trudna, jaka złożona, jaka tragiczna wyprawa.

Tym mniej od Amundsena szczęśliwym podróżnikiem był znajomy nasz kapitan Scott. Nie wiedział on nic o wyprawie Amundsena. Rozkładał obóz zwój zimowy na wyspie Rossa. Postanowił iść drogą, zbadaną przez Shakleton'a, poprzez lodowiec Beardmore (Birdmor). Dwunastu pójdzie z nim towarzyszków. Ma z sobą koniki mandżurskie zwinne, ale, jak się okaże, gorsze od psów. Zabiera ze sobą i sanki automobilowe. Jednak sanie

automobilowe staną pod 80°. Dopiero 10 grudnia Scott staje u stóp lodowca. Trzeba jedenastu dni, aby wydostać się na szczyt. 3-go stycznia z powodu mgieł i śniegu Scott dochodzi tylko do 77°. W obawie, że nie starczy mu zapasów żywności, odsyła część karawany. Zostaje przy nim doktor Wilson, kapitan dragonów Oates (Ots), oficer marynarki Bowers (Bauers) i podoficer Ewans (Iwans). Suną naprzód, gdy wtem, w głębi widnokręgu, od strony wschodniej ich bystre, jastrzębie oczy dostrzegają jakieś rysy na śniegu; równoległe, ciemne linje na białym, roziskrzonym śniegu podbiegunowym. Co to być może? Może to cienie rzucone przez małe pagóreczki śnieżne, może bródzy w śniegu, wyorane przez wiatry od bieguna wiejące? Nazajutrz ten sam widok niepokoi ich oczy. Nikt nie mówi, co myśli o tej wyżłobionej w śniegu kolei, choć wszyscy czują jednaki w sercu niepokój. Nikt nie mówi: «Amundsen», choć na wszystkich ustach to właśnie spoczywa nazwisko. Wreszcie próbują sprawdzić podejrzenia: tak, oto ślady sky, ślady sanek, ślady psów! Byli tedy ludzie w tych stronach! Nie mógł być nikt inny, jeno Amundsen i jego towarzysze. Głęboko zasmucili się Anglicy: więc tak oto, sto lat pracy angielskiej, drogi wydeptane, przeszkody wskazane, wszystko wreszcie do zwycięstwa przygotowane — miało

zawieść! Nie Anglik, jeno Norweg miałby dotrzeć do bieguna. W pierwszej chwili pomyśleli sobie, może nie warto już iść dalej? Biegun jest, być może, odkryty? Poczucie obowiązku zwyciężyło wątpliwości. Ruszyli w drogę. Bez humoru, bez entuzjazmu, surowi i milczący—szli dalej śladami Amundsena, posuwali się dalej, aż do małego namiotu, pozostawionego u bieguna przez Norwegów. W namiocie Scott znajduje list, pisany do niego przez szczęśliwego Amundsena. Pomiary dokonane przez Anglików wykazują, że namiot jest istotnie możliwie blisko bieguna. Tuż obok Anglicy wbijają w zmarzły śnieg swój sztandar narodowy, ale nie uważają, aby to był sztandar zwycięzców. Powiewa tu już sztandar norweski. Odebrano im pierwszeństwo. Szczęśliwy współzawodnik wyprzedził ich o miesiąc. Ale zaszli tam, dokąd zająć byli powinni. Spełnili obowiązek wobec Nauki wobec sumienia własnego, wobec tych, którzy im ufali i wyprawili w daleką drogę. Nie wiedzieli, co ich jeszcze miało spotkać. Mieli zwycięstwo Amundsena i swoje własne okupić największem bohaterstwem, do jakiego zdolny jest człowiek.

II

Trzeba było wracać. Trzeba było śpieszyć się. Już było 18 stycznia, a najpóźniej 25 marca należało być na zimowych leżach. Powodzenie dodaje sił; brak powodzenia odbiera nam siłę, pozbawia odwagi. Koników mandżurskich nie było już oddawna. Podróżnicy ciągnęli sanie sami. Najpierwszy zmęczył się Ewans. Ledwie powłóczy nogami. Schodząc z lodowca, spada w przepaść, z trudem udaje się go wydobyć, głowę ma strzaskaną: bredzi, powtarza co chwila: «Biegun, biegun!... Pierwsi, pierwsi!...» Jest niespełna rozumu. Kładą go na sanie i ciągną za sobą. Podróżnicy schodzą w strefę burz śnieżnych, strasznych, tygodnie całe trwających. Z trudnością posuwają się naprzód. 15 lutego pozostaje jeszcze 600 kilometrów do lodowca Ross'a. Ewans przestaje jeść, wreszcie umiera 18 lutego.

Podróżnicy pomimo burzy, pomimo mrozu, niekiedy czterdziestostopniowego, suną dalej. Oates pozostaje wtyle — nogi ma odmrożone, nie może

chodzić. Leży. Towarzysze zostają przy nim w złe skleconym szalasie. Pewnego dnia obliczają zapasy: prawie nic już nie zostało. Jeszcze parę dni i wszyscy z głodu będą musieli zginąć. Wtedy Oates z trudem wstaje, mówi: «Do widzenia, towarzysze!» — i wychodzi. Nie mówił więcej. Widząc, że jest przyczyną opóźnień, że choroba jego przewleka wyprawę, wołał przestać żyć. Rzucił się w przepaść. Wielką była jego ofiara. Jednak była spóźniona. Gdyby był zginął o tydzień wcześniej, towarzysze mogli byli uratować się. Teraz było już za późno. Ze wszystkich sił chcą śpieszyć do stacji, pozostawionej na 79°. Dzieli ich od tego miejsca przestrzeń dwudziestu zaledwie kilometrów. Ale śnieg wali i wali bez litości. Trzeba przebijać się przez wały śnieżne, wśród zadymki, po ciemku, nie widząc nic prawie. Zrywa się burza tak straszna, iż nie sposób wyjść z namiotu. Wichy rzuca ludźmi, jak piłkami, to w prawo, to w lewo. Gina sobie z oczu. Muszą siedzieć i czekać w namiocie, przez który wiatr przewala co chwila tumany śniegu. Gdyby wyjść mogli, w ciągu dnia jednego przebyliby drogę, dzielącą ich od spokojnej przystani! Cóż począć, kiedy stu kroków przebyć nie można.

I w tem miejscu mieli zginąć. Musieli zginąć z głodu. Niema śmierci straszniejszej, bardziej

okrutnej. Znają tę śmierć górniczy w kopalniach, w szybach zawalonych. Ale tym przyświeca aż do ostatniej chwili nadzieja, że ich bracia odkopią, wyzwolą. Tu, pod biegunem, nie ma nadziei, że pomoc nadejdzie, że dobrzy ludzie, że bracia nadejdą, ogrzeją, nakarmią. Tu każdy z tej trójki nieustraszonej wiedział, że nie wstanie, że tu przyszła ostatnia jego godzina. Siedzą i leżą na tapczanach, rozmawiają z sobą, piszą listy do rodzin, rozmawiają z Bogiem. Cierpliwie czekają śmierci, która zwolna, podstępnie czai się, skrada się chyłkiem ku bezbronnyim rycerzom. Już jest u progu namiotu. Wiatr zawył głośnie i w tumanie sniegu przez próg ją wprowadził. Zbliża się do Bowersa; «On mój!», skrzeczy, wyciągając nagie, białe piszczele. Jeszcze Wilson żyje. Wierny to, drogi towarzysz Scotta. Patrząc na Scotta, mówi: «Towarzyszu, jesteś jeszcze krzepki, wytrzymasz, uciekaj, dojdiesz do chaty zimowej... Ratuj siebie, gdy my już skazani!»... Scott nie słucha rady. Nie opuści towarzyszy. Kapitan nie ucieka z tonącego statku, zostanie na nim do końca. 23 marca umiera i Wilson.

Pozostaje Scott sam jeden. Ma jeszcze dość siły, aby towarzyszom oczy zamknąć, oddaje im ostatnią posługę. Czeki i swojego wyzwolenia. Pisz do ostatniej chwili dziennik. Pisz listy do żony

Wilsona, do matki Bowersa. Czytajmy te listy. Można się ich napamięć uczyć, takie są pełne wzniosłej treści.

«Kiedy otrzyma Pani list ten, Bill (Wilson) i ja nie będziemy już przy życiu. On był wielki aż do ostatniego tchnienia. Zawsze wesoły, gotów do ofiar dla innych, nie miał nigdy żalu na ustach, był wierny w radzie do końca... Nie mogę pocieszyć Pani inaczej, jak tylko mówiąc, że mąż Pani umarł, jak mąż silny, odważny, bohater».

Do matki Bowersa pisał Scott. «Jesteśmy u kresu podróży, kończę tę podróż w towarzystwie dwu męnych, szlachetnych towarzyszy. Jednym z nich jest syn Pani. Światło jego odwagi padało na nas. Dodawał nam otuchy. Nie tracił nadziei do końca. Niezbadane są drogi Opatrzności. W ostatniej chwili wspominał Panią i siostry swoje. Jak musiał być szczęśliwym wśród Was. Wiarę zachował do końca. Był pewnym, że Bóg zachowa Was w opiece Swojej»...

Do przyjaciela swego p. Barrie pisał: «Żegnaj! Anglicy umieją jeszcze umierać, dumni i odważni do końca. Wiedz, że uczyniliśmy wszystko, aby dotrzeć do bieguna i życie swoje oddaliśmy, aby ratować chorych towarzyszy. Wierzę, że będzie to wzorem dla Anglików, że kraj pomyśli o życiu tych, którzy po nas pozostaną w nędzy i w smutku.

Nie boję się końca, ale jestem smutny. Żegnaj, przyjacielu! Stan nasz jest opłakany. Z nogami odmrożonemi, bez opału, daleko od zapasów żywności. Co to za radość wypełniłaby serca nasze, gdyby można było raz jeszcze znaleźć się pod ciepłym namiotem, posłuchać naszych pieśni i wesołej rozmowy...

«...Jesteśmy blisko końca. Cztery dni temu burza obaliła nasz namiot, nie mam ani ognia, ani żywności. ...Umierając, proszę cię, abys pamiętał o żonie mojej i synku; jeżeli rząd tego nie uczyni, daj chłopcu wykształcenie, aby mógł stać się człowiekiem».

W liście do żony, pisał Scott, aby chłopca uczyła nauk przyrodniczych, kształciła w nim odwagę, pilność. «Wiesz, że musiałem czynić nad sobą wysiłek: byłem leniwy... W rzeczach moich znajdziesz strzępy sztandaru, który dźwignąłem na biegunie. Ofiarujesz po kawałku królowi i królowej Aleksandrze»...

Z matką swoją żegnał się Scott, pisząc: «Wielki Bóg odwołał mnie do chwały Swojej. Wiem, że będzie to jeden jeszcze i potężny ból dla ciebie. Znajdź pociechę w myśli, że umieram w zgodzie ze światem i z własnym sumieniem i że umieram bez strachu»...

Pozostawieni na leżach zimowych inni członkowie wyprawy napróżno oczekiwali i powrotu Scotta i jego odważnych towarzyszków. Mijały dni, tygodnie, miesiące. Walcząc z głodem, nie przygotowani do tak długotrwałej podróży, zrozumieli wreszcie, że bohaterowie nie wrócą więcej, z trudem doczekali się lata podbiegunowego i w październiku ruszyli na odszukanie śladów towarzyszy. Znajdują ich ślady, ich śmiertelne szczątki, listy, dzienniki. Dzieło ich, tak ciężko okupione ofiarą życia nie zostanie stracone. Świat pozna ich bohaterstwo. Jeżeli miłość własna nie znalazła zupełnego zaspokojenia, jeżeli sztandar brytański nie pierwszy dźwignięty został na samotnym, biegunowym cmentarzysku, to przecież cała droga do tego kresu wyrąbana została trudami i męką Anglików. W wyścigu ostatecznym zwyciężeni zostali o dni kilkanaście, ale nie zmniejsza to bohaterstwa angielskich podróżników. Te dni kilkanaście nie wymazały zasług, zdobytych w walce nie przerwanej od lat siedmdziesięciu. Nietylko dla Anglii żyli i głowy swoje złożyli ci bohaterowie: dla całej żyli ludzkości.

Na miejscu, gdzie odnalezione zostały szczątki śmiertelne Scotta i jego towarzyszków usypano kopiec ze śniegu, na kopcu dźwignięto krzyż i napis: «Ten krzyż i ten kopiec dźwignięte zostały

na szczątkach śmiertelnych kapitana Scotta, doktora Wilsona i oficera Bowersa, jako drobny hołd, oddany ich ciężkim i zwycięskim próbom dotarcia do końca. Przybyli do bieguna 18 stycznia 1912 roku. Kopiec ten usypany również ku pamięci ich towarzyszków: kapitana Oates'a, który z własnej woli poszedł na spotkanie śmierci, w czasie burzy w odległości dwudziestu mil od tego kurhanu, chcąc uwolnić towarzyszków i ulżyć doli obarczonych nad siły; również ku pamięci Edgara Ewansa, który zginął u podnóża lodowca Beardmore. Bóg dał im życie i Bóg je wziął. Niechaj będzie pochwalone Imię Jego».

Szukano nadaremnie ciała kapitana Oates'a. Na miejscu tedy, gdzie porzucił przyjaciół usypano również kopiec ze śniegu, ozdobiony napisem: «W tem miejscu zginął szlachetny kapitan dragonów Oates, który w drodze powrotnej od bieguna, w marcu 1912 roku, z własnej woli poszedł na spotkanie śmierci w czasie burzy, pragnąc uratować od zguby braci swoich...»

W tych napisach niema wyrazów zbytanych, ani pochwał nadmiernych. Jest w nich sama tylko prawda. Proste te wyrazy położone żołnierzom obowiązku przez ich towarzyszków zawierają treść głęboką. Nie będzie pielgrzymek do tych samotnych grobowców. Nie porosną trawą zie-

loną. Nie zakwitną na nich kwiaty. Nie będą nad niemi płakały wierzby. Nie zaśpiewa tam ptak swej pieśni. I tylko w rocznikach nauki i w sercu ludzkim żyć będzie pamięć kapitana Scott'a, który poszedł tam, dokąd wołał obowiązek i wytrwał do końca. W męce nieopisanej znalazł śmierć u boku braci swoich, ale wytrwał. «Życie swoje położył za przyjaciół swoje», za honor przywódcy, za sławę Nauki i Ojczyzny.

B O H A T E R Ż Y W Y O T O W A R Z Y S Z A C H M A R T W Y C H

Paryż, 28 stycznia 1914 r.

Opowieść «o życiu i śmierci kapitana Scotta» — mówiła Wam o tych, co zginęli. Nie wszyscy przecież zginęli z liczby tych, którzy w tę daleką i okrutną udawali się drogę. Wczoraj właśnie można było w Paryżu oglądać jednego z tych, co pozostali, komendanta Ewansa. To on odszukał szczątki wyprawy Scotta, on wraz z innymi członkami wyprawy usypał ów Kopiec Lodowy. Przywiózł niezliczone fotografie, przez Scotta wygotowane, cudowne świadectwa prawdy, które zostaną na zawsze. Przywiózł pamiętnik, listy, naukowe opisy podróży, spostrzeżenia geograficzne, geologiczne, klimatyczne. Przyjechał do Paryża na zaproszenie Towarzystwa Geograficznego i w olbrzymiej sali uniwersytetu, przed prezydentem republiki francuskiej, ministrami, wobec przedstawicieli nauki, wobec czterech tysięcy osób opowiedział historję tych lat, które przeżył koło biegun, towarzysząc Scottowi, później go oczekując, wreszcie szukając go i znajdując martwe jego ciało. Komendant Ewans był drugim oficerem wypra-

wy Scotta, był jego powiernikiem, jego prawą ręką. Powierzano mu sprawy ważne i bardzo odpowiedzialne. On prowadził statek od Londynu do morza podbiegunowego, poprzez mgły i płynące zwały lodowe. Trwała ta podróż pięć miesięcy aż dotarli do brzegów Ziemi Wiktorji, do tak zwanej Wielkiej Barjery czyli niezmierzonego pola lodowego, długiego mniej więcej sześćset kilometrów. Pole to prowadzi do biegun. Posuwając się po tem polu, budowano wszędzie składy żywności; w tej pracy uczestniczyli wszyscy członkowie wyprawy, także Ewans. Jakże ciężko było posuwać się naprzód! Niekiedy mróz osiągał 58° poniżej zera! Mijały miesiące, aż wreszcie 1 listopada (wiosna przy biegunie południowym) karawana rusza w ostateczną drogę ku biegunowi. Ewans toruje drogę śród śniegu i lodu. Prowadzi dwoje sani samochodowych, wypełnionych żywnością. Jednak sanie psują się. Trzeba je porzucić. Trzeba wyładować zapasy na puste sanie, zaprząć się do nich samotrzeć i dźwigać przez lody ciężar 425 kilogramów. Tak przebywa awangarda pole lodowe 600 kilometrów długie. Następuje drugi etap: trzeba wspinać się w górę po strasznym lodowcu, po zlodowaciałej katarakcie spadającej z płaskowzgórza, na którem znajdować się powinien biegun. Wszyscy zajęci są pchaniem w górę sani. Po 24 dniach ta-

kiej drogi, 3 stycznia 1912 roku—oddział zmniejszony do 8 ludzi, znajduje się tylko o 240 kilometrów od bieguna. Scott, obawiając się, iż żywności zabranej nie starczy dla tylu osób, postanawia karawanę zmniejszyć. Zabiera Ewansowi wszystką żywność, jaką posiada i każe mu wrócić. Co za rozczarowanie! Przebyć taką daleką i okrutną drogę w nadziei ujrzenia bieguna, a tu w odległości dwustu kilometrów od celu nagle rozkaz przywódcy: wracaj! Trzeba było poddać się rozkazowi. Jeden z podoficerów, który miał wrócić zaczął głośno płakać z rozpaczy. Nie pomogła rozpacz. Pożegnali się towarzysze. Scott zapowiedział, że zobaczą się wnet, najdalej za ośm tygodni. Nie przeczuwali wtedy, że się już nigdy za życia nie zobaczą.

Ewans wraca tedy ku polu lodowemu. Śpieszno mu. Chciałby jak najprędzej dotrzeć do morza, nagromadzić żywność i wysłać wyprawę pomocniczą na spotkanie Scotta. Tymczasem nagle 18 stycznia zaczyna chorować. Ogarnia go osłabienie, czuje ogromne zmęczenie, chodzi mimo to. Stara się opanować wyczerpanie. Pomimo wysiłku nadmiernego spada z sił tak bardzo, że chodzić nie może. Co dnia rano towarzysze przywiązują mu sky do nóg, sadowią go na nie; skulony i zgięty, pomagając sobie krótkimi kijami, zatkniętymi pod pachą, czołga się, sunie naprzód. Na zdrowiu zapada coraz bar-

ziej. Puchną mu dźsiała, nogi. Wiedzą, co mu jest. To skorbut—straszna choroba podbiegunowa, wróg wszystkich wypraw, źródło i przyczyna iluż nieszczęść i śmierci. W jaki sposób ta gromadka, z chorym pośrodku, dowlokła się do wybrzeży, któż odgadnie! Chory nie może nic jeść, tylko trochę masła; pije herbatę i kakao. Żołądek źle działa, kiszki również. Błaga towarzyszków, aby go porzucili i szli dalej. Nie chcą słyszeć o tem, kładą go na sanie i wloką ku przystani. Już tylko parę dni dzieli ich od celu, śnieg zaczyna padać tak obficie, że zatrzymuje podróżników. Nie mogą poruszać się z chorym naprzód. Wtedy jeden, z narażeniem życia sam puszcza się w drogę, aby dotrzeć do statku i sprowadzić doktora. Cudem udaje mu się wyprawa. Doktor orzeka, że Ewans jest śmiertelnie chory, że trzeba go natychmiastowo odesłać i z jego rozkazu, statek, który wtedy właśnie przybywał z Nowej Zelandji z zapasami żywności, zabiera na pokład Ewansa.

Doktor pomylił się. W dziesięć miesięcy później Ewans obejmuje na nowo dowództwo statku, który ma zawieźć Scotta do ojczyzny. Zbliżają się ku Ziemi Wiktorji, przybierają statek jak mogą, aby godnie przywitać znakomitych zdobywców bieguna. Statek przybija do lądu. Zamiast wesołej nowiny, zamiast drogich towarzyszków, spotyka ich żałobna wieść: Scott nie wrócił. Scott zginął.

Oto, co opowiadał podróżnik angielski tysiącom słuchaczy paryskich. Skromny, nie mówił prawie nic o sobie. Mówił tylko o tych, co zginęli. Słuchano go z zapartym oddechem. Straszne obrazy kinematografu, objaśniające odczyt, potęgowały jeszcze grozę opowieści. Wiele osób płakało. Olbrzymia większość czyniła owację mężnemu towarzyszowi tych, co zginęli. Entuzjazm, właściwy publiczności paryskiej, obejmował jednym uściskiem miłości tych kilku oficerów marynarki angielskiej obecnych na wykładzie jak i tych męczenników, których wizerunki czarował na chwilę przed okiem załzawionem zdumionego słuchacza — cudowny wynalazek ostatnich lat.

Witał Ewansa prezes Towarzystwa Geograficznego — ksiązę Roland Bonaparte (także podróżnik francuski). Gdy Ewans skończył, przemówił minister francuski Monis. Sławił czyny wyprawy. Prosił też prezydenta rzeczypospolitej, aby mężnemu Anglikowi przypiął do piersi order wysoki oficera legji honorowej. Pośpieszył to uczynić pan prezydent Poincaré.

Wewnątrz gmachu Sorbony miało być około czterech tysięcy osób. Przed gmachem czekało na ulicy jeszcze dwa tysiące. Tak Paryż hołd składał męstwu, cierpieniu i męczeństwu.

L O T N I K

W maju 1927 roku wszystkie agencje telegraficzne Francji i Ameryki wysyłały wielometrowe depesze o podróży powietrznej, dokonanej poprzez ocean Atlantycki przez kapitana Lindbergha. Podziwiano nieustraszonosć tego skandynawskiego Amerykanina.

Na kilka dni przed jego podróżą zginęło na tych nowych szlakach dwóch lotników francuskich: Coli i Nungesser. Przepadli bez wieści. Zginęli niewiadomo gdzie, niewiadomo kiedy. Szukano ich wszędzie. Nie znaleziono śladu. Nie przeraziło to Lindbergha. Czekał tylko na wiadomość o możliwej pogodzie. Gdy Instytut meteorologiczny (amerykański) dał znać, że będzie pogoda, wyruszył w drogę. 6000 kilometrów «drogi» powietrznej nad falami bezkresnego oceanu!

Ledwie rozpoczął lot, spotkał go deszcz, potem śnieg. Marzło wszystko (z wyjątkiem czekolady). Skrzydła aeroplanu pokryły się lodem, który pchał wdół skrzydła żelaznego ptaka. Lotnik szybował bądź nad samą wodą, bądź od tej wody

uciekał w górę do wysokości trzech tysięcy metrów.

Że Lindbergh wytrzymał — nie dziwnego. I Coli i Nungesser wytrzymali zapewne. Ale jego motor wytrzymał i to była podstawa materialna niebywałego zwycięstwa!

Poleciał.

Po obu stronach oceanu setki tysięcy ludzi czekało wiadomości.

Była już późna noc w Europie, gdy lotnik ukazał się na lotnisku francuskim w Le Bourget. Dziesiątki tysięcy Paryżan rzuciło się na jego spotkanie. Entuzjazm był tak gorący, «wulkaniczny», że oficer francuski zarzucił na zwycięskiego lotnika swój mundur, aby zmylić jego ślad. Lękał się, że ten, który wyszedł żywy z walki z przyrodą — padnie ofiarą entuzjazmu ludzkiego.

Depesze opowiadały światu, co Lindbergh powiedział: co jadł, co do niego mówiono. Cała Francja znalazła się u jego stóp: parlament, prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej, rząd, cały Paryż. Wszystko rozwarło niejako objęcia, aby uściskać wielkiego człowieka, co zwyciężył złe wichry, burze wód i atmosfery, czas i przestrzeń, co przybliżył niejako do siebie dwie części świata, rozdzielona niezmierzonym oceanem. Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę. Lindbergh połączył ją z Europą.

Można już dziś wyobrazić sobie, że za lat kilka, kilkanaście pasażerowie będą z lotniska w Mokotowie siadali do aeroplanów, na którym widnieć będzie napis «New-York».

Lindberg leciał 33 godziny. Powiedzmy, że omnibus lotniczy lecieć będzie dwie doby. Pierwsza stacja: Francja, druga Irlandja, trzecia New-York. Tak jak dziś: Falenica, Dęblin, Lublin.

Zwycięstwo olbrzymie.

Samochody Citroëna przebiły się przez cały kontynent Afryki od Kairu do przylądka Dobrej Nadziei. Aeroplan amerykański, zbudowany przez trzech genialnych inżynierów, przebił się przez świat nad morzami, lądami, oceanami.

Dumny człowiek, drobina w przestworzu świata, we wszechoreżu swej nauki, wyzwiał naturę do walki i zmógł ją w niezrównanym boju.

Tam w Bourget, w owej nocy, u stóp Lindbergha legły wszystkie przeszkody, które dotąd wydawały się niezwalczone. Nad głową jego zapaliła się aureola.

Dla zbliżenia się narodów — ten młody człowiek zrobił więcej, niż pięciuset dyplomatów. Szczęśliwy w wynikach swej pracy.

Najskromniejszy to ponoć człowiek. Mówi o sobie «udało mi się. Zasługa tu tych, co zbudowali mego «ptaka». Pierwsza myśl po wylądowaniu

była: pocieszyć matkę Nungessera, druga: pojadę do Australji. Ocean Atlantycki zwyciężony przez skrzydlatego człowieka — teraz kolej na ocean Spokojny».

Francja straciła Nungessera i zapewne w jednym sercu francuskim zapalił się płomyk za wiści: «Dlaczego nie nasz? Dlaczego Amerykanin?» Zazdrość jednak gasła natychmiast.

Entuzjazm tych tysięcy, które witały Lindbergha w Le Bourget był olbrzymi.

Święć się wola Twoja, bezinteresowny człowieku! Takiś mały, ale uzbrojony w pancerze nauki, którąś sam stworzył, przebijasz się przez olbrzymie góry przeszkód, wzbijasz się pod obłoki, panujesz nad lądami i morzami.

Naprzód człowieku! Nietylko natura poza Tobą jest dla Ciebie do zwyciężenia... Ty sam siebie zdolasz przetworzyć. Ty sam koło siebie góry przenosisz, obalisz — utorujesz drogi nowe prawdzie i ludzkości!»

MĘCZENNIK I JEGO KORONA

W lutym 1923 r. zmarł w Niemczech słynny fizyk Wilhelm Roentgen, ten sam, który przed laty trzydziestu, pierwszy zobaczył dziwne promienie, promieniami X przezwane. Każdy z czytelników moich wie, o czem mowa i słyszał niejednokrotnie o cudownych skutkach zabiegów lekarskich, opartych na odkryciu cudownem, kiedy uczony okiem od szczęścia oszołomionem zauważył nieznany mu dotychczas połysk plamek świetlnych.

Temidniami też obchodzono w Paryżu, w wielkiej sali Rady Miejskiej, uroczystość wręczenia wysokich odznak legji honorowej francuskiemu lekarzowi, który pracując nad roentgenologją, stracił od działania zabójczego promieni X obie ręce. Trzeba mu je było uciąć powyżej połowy. Nasamprzód stracił jedną, ale ta strata bynajmniej nie osłabiła jego zapału naukowego. Zostawała druga. Charles Vaillant prowadził badania swoje w dalszym ciągu. Co dnia przychodził do laboratorium, pracował jak dawniej, bez przerwy, do wieczora, badając sam, czuwając nad asystentami, kształcąc

pomocników i następców. Przykład takiego przewodnika cuda przecie zdziałać może. Obcować co dnia z człowiekiem, który w imię nauki, w imię pracy naukowej, w imię pomocy bliźnim, w imię ratowania życia ludzkiego pozwolił losowi zabrać rzecz tak cenną jak ręka, narzędzie pracy niezapłacone w organizmie badacza laboratoryjnego — niemałego to znaczenia bodziec pedagogiczny, wzór moralny, kula słoneczna światła pełna, zawieszona na widnokręgu studenta i człowieka!

Dziś Ch. Vaillant nie posiada już i drugiej ręki, ale mózg jego nie przestaje pracować jak dawniej, nie przestaje wierzyć w naukę, w jej przyszłość, w jej dalszy, cudowny, cudotwórczy rozwój. Jest pełen optymizmu i wiary. Stał w otoczeniu rodziny przed dygnitarzami Rzeczypospolitej najskromniejszy obywatel, wielki męczennik nauki w żakiecie, podobnym innym męskim strojom, ale o dwu rękawach pustych, smętnie zwisających ku ziemi...

Już sama obecność takiego męża budzi wzruszenie. Cóż dopiero działo się na wielkiej sali paryskiej Rady Miejskiej, wyrzeźbionej i wyłóconej, zalanej światłem olbrzymich świeczników, gdy generał Dubail, prezydent kapituły orderu legji honorowej, wręczając odznakę tego orderu oświadczył, że nigdy w życiu nie był tak wzruszonym,

jak w chwili kiedy Ch. Vaillant'owi w imieniu Rzeczypospolitej zawiesić ma na szyi odznaki zasługi, a to dlatego, że «bohaterstwo jego nie da się wcale porównać z bohaterstwem na polu bitwy: bohaterstwo Vaillant'a przewyższa wszystkie cuda odwagi żołnierskiej...»

Wyrazy wysokiej wagi i w ustach starego żołnierza niemało ciekawe. Słyszeć generała chylącego głowę przed odwagą badacza naukowego — to wzór daleko odbiegający od rzeczywistości w innych krajach Europy!

Zapisujemy te wyrazy obok tych innych, zasłudze męczeńskiej Vaillant'a ofiarowanych. Nie wiele one znaczą obok tej pięknej postaci na ponurem tle powojennych nastrojów! Szlachetna postać bezinteresownego męczennika nauki, który oddał co miał najcenniejszego, życie własne z taką samą bezinteresownością, z jaką na pięknym witrażu Wyspiańskiego u Franciszkanów w Krakowie, święta Salomea odrzuca precz od siebie — koronę.

Korona cierniowa Vaillanta więcej waży na szali dziejów ludzkości niż order generała Dubaila.

NA ODWIECZNYM WULKANIE

9 maja 1914 r. rozeszła się po świecie wiadomość o trzęsieniu ziemi, które nawiedziło Sycylię. Katanja i jej okolice zostały dotknięte straszną klęską. Znikło kilka wiosek, kilkuset mieszkańców zginęło w gruzach, kilka tysięcy straciło cały swój dobytek. Niema kraju w Europie, któryby więcej cierpiał od trzęsień ziemi niż Italja. Etna, od której Katanja nazwę swoją otrzymała (Kat-Etna)—była zawsze wulkanem. Legenda zna ten wulkan od stworzenia świata! To na jego szczycie Deukalion i Pyrra szukają ratunku przed coraz wyżej podnoszącymi się wodami Potopu. To w jego czeluściach Wulkan niestrudzony (w mitologii greckiej Hefaistos, w łacińskiej—Wulkan) i pracownicy Cyklopi kują pioruny Zeusa (Jowisza), osaczonego przez Tytanów. Zeus zwycięzca strąca ich w głębiny Tartaru (Hadesu), rzucając w rozwartą czelustwę Etny. Aliści Enkelados i Tyfaon, synowie Tartara i Ziemi, bronią się jeszcze. Zeus godzi w nich piorunem i przygważdża do dna wulkanu. Ich jęki, ich próby wydostania się na wolność

sprawiają, że ziemia wokoło drży w posadach swoich i z nozdrzy Tytanów, dręczonych w kajdanach, buchają tak silnie słupy ognia i palące lawy, że wylewają się nazewnątrz, zatapiają wsie, miasta całe wokoło w perzynę obracając krainę, wczoraj jeszcze mlekiem i miodem płynącą.

Tak sobie starożytni wyobrażali przyczyny tych strasznych nieszczęść, które wtedy, jak dzisiaj, uderzały co parę lat w cudnie piękną wyspę Sykulów, pra-mieszkańców Sycylii, wyspy Trzech Rogów (Trynakria), śpichlerza starożytnego świata, ogrodu rajskiego, wiecznie kwiatami zasłanego. Wybuchy Etny znane były od tysiącleci. Naliczono ich jedenaście przed Narodzeniem Chrystusa, wybuchy z lat 476, 396, 126 i 122 były uważane za najstraszniejsze. W okresie naszej ery liczą siedemdziesiąt siedem wybuchów, zapisanych przez historję. Niektóre były szczególnie dotkliwe. W r. 1169 biskup Katangi celebrował w katedrze uroczyste nabożeństwo, w otoczeniu całego duchowieństwa i w obecności olbrzymich tłumów. Nagle nastąpił wybuch niespodziewany, nieoczekiwany i tak silny, tyle mu towarzyszyło trzęsień ziemi, że katedra zawaliła się, kryjąc w gruzach swoich wszystkich pobożnych. Miało zginąć wtedy piętnaście tysięcy ludzi! Najstraszniejsze atoli trzęsienie ziemi miało miejsce w roku 1669. Trwało cztery miesiące.

Zginęło wówczas dwadzieścia tysięcy ludzi. Cała figura podnóża Etny uległa zmianie. Góry Rossi zwaliły się na zbocza wulkanu. To samo powtórzyło się w roku 1693. Wulkan wyrzucał nieprzerwany potok lawy; morze wystąpiło z brzegów i zatopiło całe wybrzeże. Zginęło wtedy czternaście osad ludzkich, uległ zniszczeniu port Katanji, miało samo zapadło się. Obliczano, iż zginęło sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, w samej Katanji osiemnaście tysięcy. W dziewiętnastym wieku naliczono dziewiętnaście trzęsień ziemi. W r. 1817 wybuchy Etny trwały dwa miesiące, w r. 1865 — sto czterdzieści trzy dni. Wierzchołek Etny «dymi» zawsze. Wciąż wulkan ostrzega mieszkańców, porykując i grzmiąc, strzelając ku niebiosom ognistymi błyskawicami. «Bacność!» — woła do człowieka, który kwiaty zbiera i jabłonie sadzi, nie myśląc wcale o tem, że może jutro albo za rok zginie i nigdy jabłek na drzewie swoim nie zobaczy. Obliczono, że Etna zieleje ogniem mniej więcej co cztery lata, a co dziewięć lat wpada w szal, pali, niszczy wszystko wokoło. A jednak człowiek silniejszy jest od niej, bo żyje u jej stóp. Jak feniks starożytny, wyrastają z pod popiołów lawy miasta, domy, szkoły, kościoły. Mnożą się ludzie, powstają przedsiębiorstwa. Uczeń bada krater wulkanu i podpatrują tajemnice trzęsienia ziemi.

Opowiedziałem wam niedawno, jak to Empedokles ciekawość swoją przypłacił życiem. Dzisiejsi uczeni są szczęśliwsi. Już wulkan na pośmiewisko nie wyrzuca z czeluści swoich «sandałów filozofa», jako jedynej rzeczy, która pozostaje po śmiałkach, co starali się podpatrzeć tajemnice Natury. Jeżeli uczeni współcześni tajemnic tych nie znają jeszcze w zupełności, są już na drodze do poznania tych tajemnic. Wiedzą, że był czas, kiedy... Etny, tej olbrzymiej, trzy tysiące metrów liczącej góry, nie było wcale. Że w tem miejscu, gdzie dzisiaj sterczy, było morze i że w okresie trzeciorzędowym z tego morza wystrzeliła Etna. Wiedzą, że dawne teorie, wiążące trzęsienia ziemi z wybuchem wulkanu, są już dziś niewystarczające, szukają przyczyn raczej w układzie kory ziemi.

Perła morza Jońskiego owiana jest obłokiem legendy, najdalej sięgającej przeszłości. Na osiemset lat przed Chrystusem byli tu już Fenicjanie, byli Grecy. Zabudowali Sycylię cudami swojej architektury, które dziś człowiek współczesny wydobywa z głębin ziemi, pracą lat dziesiątków. Później byli Rzymianie. Później byli Arabowie, Normanowie... Kogo tu nie było! Narody, ludy, rabusie morscy pozostawiali tu ślady swojego istnienia, pozostawili ślady ras przeróżnych, które spotyka podróżny: to Araba, to Greka, to Normanda —

mówiących tem samem narzeczem włoskiem... Kto żył na tej ziemi — pracował, jak dzisiaj pracuje na niej trzy miliony mieszkańców, pomimo Etny i bezustannej grozy śmierci Katanja liczy sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców; pomimo, że leży u podnóża, zięjącego zniszczeniem Olbrzyma, buduje gmachy, kościoły, szkoły; prowadzi handel; otoczyła koleją samego olbrzyma! Na popiołach law wyrastają ogrody cytryn, pomarańcz, oliwek, drzew migdałowych, winnice pokrywające zbocza góry do wysokości tysiąca stu metrów! Minęły tysiącolecia od czasu, jak ludzkość się Sycylią zajmuje. Opiewali ją najwięksi poeci: Hezjod, Homer, Wirgiljusz... Spisywali jej dzieje historycy greccy i rzymscy, kronikarze średniowieczni i nowożytni aż do naszych czasów. Są biblioteki całe ksiązek Sycylii poświęconych. Z tych wszystkich dziejów i poezyj, najciekawszym jest jednak człowiek, który na tej wyspie żył, który nie bał się żyć i wiedząc, że jutro zginąć może on i dzieci jego i wszystko, co go otacza — żył jednak, wierząc w nieśmiertelność ziemi, na której żył. Sadził jabłonie dla dzieci i wnuków swoich... Kochał i kocha ten popiół, z którego wyrósł, do którego wróci i który go dźwiga i żywi, póki żyje... Ale póki żyje — nie szczędzi mu natura widoku, jaki rzadko spotkać można gdzie indziej. Widoku

Piękna, zapachu milionów kwiatów, tak cudnych i soczystych, jak mało gdzie na świecie, wina o kolorze rubinu, morza, palącego się w słońcu, wschodu i zachodu słońca, które, gdy mieszkaniac pólnocy raz zobaczy — nosi je w oczach do śmierci samej.

Wytrwały i odważny Sycylińczyk, potomek Greków i Normanów, pnie się w górę po zboczach popiołem zasłanych. Pnie się nie jak turysta, co widoki zbiera w oczach, albo w oku swego Kodaku...¹⁾ Pracuje w pocie czoła od lat najmłodszych w ogrodzie, w winnicy, a między Katanią a Mesyną w kopalniach siarki wśród strasznych warunków, dźwigając po schodach, tysiąc stopni liczących, kamienie, rękami ojców wylupane ze ścian kamiennych...

Oglądając w albumach fotografie Etny, widoki ogrodów sycylijskich, alej wysadzanych pomarańczami i cytrynami, wspomnijcie przede wszystkim o człowieku, który wbrew naturze, wbrew wyrokowi Zeusa i Tytanów — pomimo huku piekielnego i grozy śmierci, żyje i pracuje, poznaje tajemnice Zeusa i stara się w pracy okrutnej, często ponad siły, w pracy śmiertelnej — stworzyć warunki bytu lepszego dla tych, co po nim przyjdą i znowu pracować będą dla dalszych, dla najdalszych pokoleń, wiernych i przywiązanych dzieci Ziemi Sycylijskiej.

¹⁾ Aparat fotograficzny.

W CZELUŚCIACH WULKANU

Kochany Profesorze Bezmaski, prosisz mnie, abym dzieciom polskim opowiedział, com przeżył w kraterze Wezuwjusza. Jakżebym mógł odmówić twemu żądaniu! Nie mogę odmówić dla dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego, że pierwsze dziecko, jakie na świecie znałem było dziecko polskie. Przyszedłem na świat na Nowej Zelandji na fermie kolonisty amerykańskiego. Sąsiadem naszym był Polak, który nazywał się Dombrowski (Dąbrowski). Jego synek był moim pierwszym przyjacielem. Nazywał się Yanek (Janek). Rozdzieliły nas losy, ale zachowałem o nim najlepszą pamięć. O nim i o jego rodakach. Kiedy dziś otrzymałem list twój, pomyślałem: polskie dzieci — i przeżyłem całe dzieciństwo: figle, przyjaźń, zmartwienia; razem z Yankiem wpadliśmy raz do głębokiej sadzawki i ledwie wyratował nas pracujący na fermie zacny Chińczyk, biedny Laotse. Mielśmy wózek i małego konika zwanego Pams. I kiedy teraz piszę do ciebie, zdaje mi się, że do Yanka mówię.

Jest i inny jeszcze powód. Po drugie: chcę opisać w paru słowach wycieczkę swoją dlatego, że to ty właściwie, kochany Bezmaski, jesteś autorem tej mojej karkołomnej podróży. Czy pamiętasz naszą wspólną podróż z Marsylji do Aleksandrii, na włoskim statku Regina Ellena? Przypadek sprawił, żeśmy się spotkali. Polubiłem cię odrazu. Wciąż rozmawialiśmy z sobą, kiedy oto dnia jednego, płynąc wzdłuż wybrzeży Sycylii, zauważyliśmy niedaleko Marsylji osadę morską, która nas uderzyła. Kapitan, mijając nas właśnie, powiedział: «to Porto Empedocle» (Port Empedoklesa). Nie znałem wcale tego nazwiska. Zapytałem, czy nie wiesz, kto to był taki? Opowiedziałeś mi wtedy historję tego genialnego filozofa, który wszystko umiał, wszystko wiedział i opowiadał bez końca, co się dzieje na ziemi, co na niebie, co się dzieje w głębinach morza i w środku ziemi; przepowiadał przyszłość i pogodę, wróżył z ręki, czynił cuda, leczył chorych na choroby nieuleczalne. Pewnego dnia oświadczył, że zejdzie w głąb Etny, aby sprawdzić, czy tak jest naprawdę, jak mówi. Poszedł — i nie wrócił. Zagniewany na śmiałka wulkan rozprawił się z nim szybko i na znak, że już nie wróci, wyrzucił jeden sandał filozofa. Tak miał zginąć Empedokles, syn Metona, obywatel Agrigente.

Pomyślałem sobie wtedy: czemu nie pójść za przykładem filozofa? Czemu mam być mniej od niego odważny? Czemu Amerykanin ma być gorszy od Greka? Gdyby Janek był ze mną, byłby na pewno poszedł ze mną do krateru Wezuwjusza.

Nie powiedziałem ci nic podówczas, w ciągu naszej kilkodniowej wycieczki. Ale postanowiłem sobie, że jak tylko czas znajdzie, wrócę i zejść do krateru. Otóż spełniłem niedawno przyrzeczenie; roztrąbiły o tem, niewiadomo poco, gazety. Nic to przecież wielkiego nie było. Przebaczam jednak gazeciarzom, bo dzięki nim i ty dowiedziałeś się o mnie i mam sposobność list z tobą zamienić, no i wreszcie, cały ranek dzisiejszy myślałem o Janku.

Znalazłem na miejscu przewodnika, imieniem Sonnino. Szczęście sprzyjało nam. Zeszliśmy do głębokości trzystu metrów. Gorąco było straszliwe. Gdy już dalej iść nie było można, ustawiłem swój aparat fotograficzny i zacząłem zdejmować widoki. Pracowałem dwadzieścia minut. Kręciłem aparatem długo, długo. Zużyłem siedemset metrów filmu. Przede mną o parę kroków gotowała się lawa w głębi strasznej przepaści. Widziałem coś podobnego w hucie żelaznej w aparatach, gdzie gotuje się żelazo. Hałas był nieopisany. Powietrze było tak gorące, że nie było czem oddychać. Son-

nino, odważniejszy ode mnie, posunął się dalej jeszcze. Krok jeszcze i byłby zsunął się w gotującą masę, rozpaloną i wydającą okropny odór siarki. Byłby naśladował Empedoklesa aż do końca. I kto wie, czy wulkan byłby wyrzucił i jego sandały.

Kiedy już oddychać nie mogłem, kiedy zaczęliśmy się dusić, trzeba było wracać. Udało mi się dokonać, co zamierzyłem. Więcej opowiedzieć ci nie mogę. Resztę zobaczysz i ty, i polskie dzieci — w kinematografie. A jak zobaczycie, to napiszcie mi, jak wam się podobały widoki krateru.

F. Burlingham.¹⁾

Rzym.
215, Corso Umberto.
6 stycznia 1914 r.

¹⁾ Burlingham, śmiały turysta, znany z wypraw górskich, wraz z 3-ma przewodnikami odważnie spuścił się w 1914 r. w głąb krateru Wezuwjusza z polecenia angielskiego Tow. Kinematograficznego.

O DZIECIACH, KTÓRE ZAMIAST DO SZKOŁY CHODZIĆ,
MUSZĄ NA KAWAŁEK CHLEBA PRACOWAĆ

Tygodnik «Z blizka i z daleka» drukował przed paru miesiącami artykuł mój pod tytułem «Praca Radosna». Była to rozmowa, jaką prowadziłem z młodym przyjacielem, Tadzkiem, skautem, który uważał, że rzeczą w życiu najważniejszą jest wiązanie węzłów skautowskich, a nauka szkolna jest sprawą mniejszej wagi. Odtąd nie przestajemy ze sobą korespondować i dziś ogłaszam tu jeden z dużych listów, który do Tadzka napisałem, zawsze na ten sam temat. Pisałem do Tadzka o dzieciach, których w szkole niema. Dowodziłem mu, że to wielkie szczęście do szkoły chodzić, uczyć się, słuchać opowiadań o tylu cudach, dziś słuchać opowiadań o księżycu, jutro o podróżach do bieguna i jednocześnie czytać Wirgiliusza, Homera, albo Mickiewicza i pod przewodnictwem nauczyciela odbywać podróże do piramid egipskich, albo do kolonistów polskich w Paranie; słuchać, jak syrena lokomotywy gwizdać będzie niebawem tam, gdzie w piaskach tysiącletnich spoczywają ruiny Niniwy, mówić po fran-

cusku i rozumieć tajemnicę dwumianu Newtona... A że my własnego szczęścia nie rozumiemy dobrze, gdy je posiadamy, więc i Tadzko niekoniecznie mi wierzył. Mówiłem mu tedy: «jeżeli nie wierzysz, że to wielkie szczęście móc do szkoły chodzić, spojrzij koło siebie i zapytaj tych, co nigdy do szkoły nie chodzili. Powiedzą ci, jak cierpieć nie przestają nad tem, że los im nie pozwolił chodzić do szkoły. Takich ludzi są miliony. W Warszawie samej połowa mieszkańców niedawno jeszcze nie umiała ani czytać, ani pisać. W całym zaborze rosyjskim¹⁾ ta liczba była jeszcze większa. Nawet na Zachodzie, w krajach zupełnej wolności, gdzie narody życie swoje urządzają, jak im się wydaje lepszem, i tam nawet są jeszcze ludzie, nie umiejący czytać ani pisać. Bo i tam, choć szkoła jest dla wszystkich dostępna, i bezpłatna, i obowiązkowa, jednak niewszystkie dzieci do szkoły chodzą, bo zamiast do szkoły chodzić, muszą na kawałek chleba pracować».

Opowiadałem też Tadzkiowi o tysiącach dzieci, które wprawdzie do szkoły chodzą, ale prawie żadnych z tej szkoły korzyści nie wynoszą, bo są tak zmęczone pracą na kawałek chleba, że nie mogą się nic uczyć i nie rozumieją wcale, co do nich nauczyciele mówią. Powtórzę tu naszą roz-

¹⁾ Pisano w 1914 r. przed wojną.

moję, aby i inni rówieśnicy Tadzia usłyszeli, jak to los niejednakowo łaskaw jest dla wszystkich, jak jednym daje dużo, a innym za mało. Posłuchajcie, co pisze o sobie rówieśnik Tadzia:

«Jak tylko wstanę — pisze jeden dwunastoletni chłopiec szwajcarski — muszę zejść do piwnicy i pracować przy czesaniu nici od 5¹/₂ rano. Muszę pracować do 7-ej, poczem wolno mi zjeść śniadanie. Po śniadaniu pracuję znowu przy niciach, a później idę do szkoły. Ze szkoły wracam o 11-ej i do obiadu muszę znowu pracować. W południe jest obiad, po obiedzie pracuję znowu do kwadrans na drugą. Potem idę do szkoły, gdzie uczę się do 4-ej. Wracam do domu i znowu muszę siedzieć przy warsztacie, aż będzie ciemno. Jak noc nastanie, dostajemy kolację. Po kolacji schodzimy znowu do piwnicy i pracujemy do 10-ej. A jeżeli robota bardzo pilna — do jedenastej. Wtedy mówię dobranoc rodzicom i kładę się spać. Tak bywa codzień». A dziewczynka dwunastoletnia opowiadała przy tej samej sposobności uczonemu, który te wiadomości zbierał: «Musiałam pracować przy warsztacie nieraz już od piątej rano, nieraz noc całą do rana, kiedy robota była bardzo pilna»...

Pastor szwajcarski, który niedawno zbierał wiadomości o pracy zarobkowej dzieci w wieku szkolnym, naliczył takich dzieci parę tysięcy w swoim

kantonie. Pracują dzieci od szóstego roku życia, w jakiejś gminie od piątego roku życia. O jednym półsiódmu roku liczącym chłopcu, o dziewczynkach, liczących 8—10 lat życia, dowiedział się, że pracują od pół do szóstej do 8 rano, w obiad godzinę, wieczorem do 8 i 9. Jedna dziewczynka musiała pracować do 11-ej. Wieczorem dzieci te padają ze zmęczenia. Mają złe łóżka, byle jakie, twarde, rzadko słane. Dzieci śpią jak martwe, a rano, kiedy sen najgłębszy, kiedy dopiero zaczynają wypoczywać, zbierać siły, kiedy ciało zatrute zmęczeniem, dopiero zaczyna powracać do stanu zdrowia, — słysząc bezlitosne wołania matki czy ojca: «Wstawajcie! Musicie wstać, dzieci, bo robota pilna.» Dodać trzeba, że robota zawsze jest pilna, chyba że roboty niema wcale, a wtedy niema też śniadania.

Dziewczynka dwunastoletnia z kantonu Appenzel napisała takie sprawozdanie: «Wczoraj wstałam o wpół do szóstej rano. Ubrałam się prędko i zaczęłam praść. O szóstej usiadłam do śniadania. Jak tylko zjadłam, trzeba było zmyć statki. Później przedłam znowu do 7-ej. O kwadrans po 7 poszłam do szkoły. Uczylam się do jedenastej. Jak tylko wróciłam, przedłam znowu do 12-ej. O 12 obiad. Po obiedzie znowu przy warsztacie do kwadrans na szóstą. Podwieczorek. Potem znowu przedzenie

do 8-ej. Zaczęłam czytać nuty z pieśni Nr. 104 (ze śpiewnika). Potem położyłam się spać».

Niema prawie rzemiosła, zajęcia, w któremby dzieci nie pracowały. Spotykamy dzieci w kopalniach węgla—w Anglii, w Belgji i w innych krajach,—biedne dzieci, pracujące w wiecznej nocy, pod ziemią, przy świetle latarki, zajęte wożeniem węgla w wagonikach po szynach, z jednego końca galerji w drugi... W krajach, gdzie niema kopalń, pracują po miastach i na wsi we wszystkich zawodach, w których praca ich może znaleźć zastosowanie, może być kupiona. W mieście — noszą zrana od 4-ej pieczywo i mleko na najwyższe piętra, noszą od 6 rano gazety, po południu pracują w kręgielniach — ustawiając przewrócone kręgle. Wszystkie te zajęcia są bardzo wyczerpujące. Rano chłopiec czy dziewczynka ośmioletnia lub dziesięcioletnia, jeszcze nie wypoczęta po pracy dnia poprzedniego, dźwiga kosze z chlebem i bułkami, gazety, jaja, na najwyższe piętra olbrzymich kamienic. Mieszkańcy śpią jeszcze smacznie, wewnątrz mieszkań dzieci w tym samym wieku, dzieci szczęśliwe śnią spokojnie, uśmiechając się przez sen— a po schodach pnie się w górę biedny ich kolega ze szkoły powszechnej, który za drzwiami kuchennymi wkłada do woreczka chleb zamówiony, stawia fiaski mleka i pędzi na dół, by po chwili z no-

wym ciężarem piąć się po innych schodach innej kamienicy. Gorsze jeszcze jest zajęcie w kręgielni, gdzie wciąż trzeba się schylać, zginać plecy, wypręzać kręgosłup. Praca tu nietylko jest ciężka, jest także dla dziecka niebezpieczna.

Poza tem pracują dzieci w przeróżnych rzemiosłach u siodlarzy, piekarzy, farbiarzy, litografów, fryzjerów, w pralniach, introligatorniach, cukierniach, mleczarniach; zbierają jagody na sprzedaż, kopią piasek, rwą jarzyny, wybierają miód, pracują w restauracjach. Dziewczynki są kwiaciarkami.

Wszystkie te dzieci przychodzą do szkoły zmęczone. W chwili, kiedy inne dzieci wypoczęte, wesole zabierają się do nauki, te dzieci—już są przepracowane; nie zdążyły wypocząć po zmęczeniu dnia poprzedniego i na nowo się przemęczyły, biegając od 4-ej albo 6-ej rano. Zaledwo zasiadą w ławkach—zasypiają. Nauczyciele widzą to, ale ich nie karzą, bo wiedzą, że kara nie pomoże. Wiedzą, że dziecko niewinne, że nie sposób oszukać natury, która żąda, aby dziecko spało tyle czasu, ile wiek wymaga. Zamiast spać w domu, dziecko śpi w szkole. Nie może się uczyć, nie rozumie, co do niego mówią, nie czyni postępów. Głupieją do reszły i zamiast później w życiu robić postępy, posunąć się naprzód,—zostają na miejscu nieszczęśliwymi

wyrobnikami, skazanymi zawsze na najgorsze warunki pracy, na najmniejsze zarobki, biedne dzieci, przedwcześnie zaprężone do kieratu pracy ponad siły...

Przed stu laty i dawniej było jeszcze gorzej. Wtedy bowiem zaczynały wszędzie powstawać fabryki, w których maszyny zastępowały pracę człowieka. A praca przy maszynach wydawała się tak lekka, że fabrykanci uważali, że nie warto najmować mężczyzn, wystarczą kobiety i dzieci, którym płacić trzeba mniej, znacznie mniej, prawie nic. Maszyna może pracować bez przerwy. Dzień roboczy tedy trwał po szesnaście godzin dla robotników. Dzieci brano z przytułków, z «dobroczynności». Gdy nie chciały pracować, biło je stalowymi prętami, gdy uciekały, nakładano kajdany na ręce i nogi. Bywały wtedy wypadki, że dzieci, nie widząc zbawienia, odbierały sobie życie. Bywali wtedy lekarze, którzy twierdzili, że praca nie szkodzi, że można pracować chociażby dzień cały, bez różnicy wieku... Dzieci marły tysiącami, stawały się ułomne, przy warsztatach traciły ręce, nogi, wyrzucane jako niezdolne do pracy w fabryce, stawały się żebrakami. I takie były straszne skutki wyzysku, że naród cały zaczął się niepokoić. Wydane zostały ustawy, ograniczające pracę dzieci po fabrykach, najpierw w Anglii, później

i w innych krajach. Ale często, jak o tem pouczają wiadomości, podane wyżej, pomimo zakazów praca dzieci trwa dalej. Trwa i po fabrykach gdzie rodzice oddają dzieci ze sfałszowanymi metrykami, w których podano, iż dziecko jest starsze, niż w rzeczywistości. Trwa w szczególności w domu, w pracy, która nazywa się chałupniczą (stąd, że zamiast w fabryce robotnik pracuje w chałupie t. j. u siebie). I u nas w kraju pełno takiej pracy. Nie mówiąc o krawcach, szewcach, szwaczkach, którzy pracują w domu, okolice Łodzi, Pabianic, Zgierza pełne są warsztatów domowych. Każdy kolonista Niemiec, a dziś i wielu bardzo włościan pobliskich przedzie na własnym warsztacie przędzę, którą otrzymuje od fabrykanta w mieście. Tak samo w przemyśle guzikarkim, bardzo rozpowszechnionym w niektórych dzielnicach kraju. Przy tych warsztatach pracują całe rodziny, matki, dzieci, aż do najmłodszych. W Szwajcarii zapisano, że w przemyśle zegarmistrzowskim (wiecie, jak sławne są zegarki genewskie), dzieci pracują już od czwartego roku życia. Tak samo w Szwarcwaldzie niemieckim, gdzie robią zabawki dla dzieci! (Opiszę wam kiedyś, jak się fabrykują zabawki dla dzieci i przekonacie się, ile w nich tkwi pracy bliźnich naszych!!) Przy tych zabawkach małe, czteroletnie dzieci, niedoj-

rzale jeszcze do nauki szkolnej, siedzą pod piecem i smarują ciecżą trującą przeciki z blachy, z których starsi zabawki układają!

Jeżeli porzucimy brzydkie, bo tak wyzyskujące dzieci, miasto, i pójdziemy na wieś, przekonamy się, że tam nie jest lepiej. Prawie każdy z was był na wsi i mógł widzieć (ale my często nie widzimy rzeczy, które koło nas się znajdują; znałem jednego literata, który taki był mądry, że książki pisał a nie wiedział, co konie jedzą na śniadanie...) jak wiejskie dzieci pracują. Ale czy widział, czy zastanowił się nad tem, dlaczego on, Tadzio Wyprztycki umyty, uczesany, pięknie przyodziany — jedzie na kucyku na spacer do lasu, a jego jednolatek i brat mleczny Marcinek Prztyk (pstyckiem przezywany) pasie... świnie w polu, w deszcz i w pogodę, na wietrze, na słońcu?... Może i nie zauważył wcale, że to jest praca?

Przerazisz się Tadziu, gdy ci powiem, że na plantacjach buraczanych w Saksonji dzieci od szóstego do czternastego roku życia pracują 12—18 godzin na dobę. Ciało przechylone naprzód, tak, że krew uderza do głowy, w pozycji, którejby człowiek dorosły nie zniósł w ciągu dziesięciu minut! Dziecko na kolanach dniami, tygodniami czołga się wzdłuż radlin buraczanych, z twarzyczką tuż przy ziemi, zaledwo przyodziani, chłopcy i dziew-

częta pospołu. Po tygodniach takiej pracy wracają do szkoły. Twarzyczki nabrzmiałe, oko wystraszone, nieprzytomne, skóra wypalona przez słońce, ręce odarte ze skóry pod wpływem pielienia, brud do takiego stopnia wypełnił wszystkie zmarszczki na skórze i wszystkie pory na twarzy, że domyc się ich nie można, pomimo wszystkich mydeł chemicznych i gorącej wody. I kręgosłup często nie może powrócić do pozycji normalnej — często bywa skrzywiony nazawsze. Dzieci siedzieć nie mogą, ani się prosto trzymać — nauka szkolna jest stracona. Cóż z tych dzieci wyrośnie?

Pomimo wszelkich zakazów, pomimo, że uczęszczanie do szkoły jest w krajach Zachodu obowiązkowe w ciągu 7, 8 lat, dzieci pracują w polu nie tylko w Saksonji, ale i we Francji, i w Anglii, i we Włoszech. W wielu prowincjach francuskich dzieci poniżej lat siedmiu paszą krowy, kozy, owce, jako najemnicy. Pracują na folwarku. Niedawno skarżono się w parlamencie francuskim, że «dzieci ledwie mogące ustać na nogach, trzęsące się z zimna, na jesiennym wietrze, których tak wiele we Francji, z tyłu stron wystawionej na działanie wiatrów od morza nadciągających», dzieci 7—8 letnie widać w departamentach Landes'ou, Aveyron'u Gironde'y, Aisne'y, Sâone'y — biedne, chude, ledwie przyodziane pastuszki zawsze głodne,

zawsze brudne jak wieprzki, które paszą. Dzieci te wcale do szkoły nie chodzą. Nikt ich nie uczy, nikt im nauk nie udziela. Ustawa każe dzieci posyłać do szkoły, ale nie zabrania najmować pastuszków liczących mniej, niż trzynaście, albo czternaście lat życia.

Do niedawna tysiące włoskich dzieci pracowało w kopalniach siarki na Sycylii, na plantacjach ryżu w północnych Włoszech. Tysiącami ginęły dzieci na Sycylii od wyziewów siarki, ginęły na północy od febry, panującej wszechwładnie w okolicy błotnistej. Ustawa zakazała bezwzględnie pracy dzieci do roku czternastego. Ale nędza chłopska jest tak wielka, że rodzice sprzedają swoje dzieci na wywóz do Anglii. Tam nikt o metrykę nie pyta, a jeżeli zapyta policja, to przedsiębiorca ma zawsze metryki sfalszowane, przez nikczemnych urzędników wystawione. Małe dziesięcioletnie dzieci mają metryki czternastoletnich, chodzą po ulicach, śpiewają, grają na katarynkach, poprostu żebrzą, a wieczorem muszą oddawać zarobione albo użebране grosiki przedsiębiorcy. Jeżeli nie udało się nic użebrać, przedsiębiorca bije, nie daje jeść. Iluż wyrasta z tych dzieci ludzi nieuczciwych, złodziejów, złoczyńców, których później surowo sądzą sądy? Dziecko takie, gdyby miało dobrych, szczęśliwszych rodziców, gdyby mogło do szkoły

chodzić, wyszłoby na porządnego obywatela, zostałoby rzemieślnikiem, rolnikiem, robotnikiem, adwokatem, lekarzem. Ojciec sprzedaje dziecko swoje nie dlatego, że jest nikczemny. Sprzedaje, bo wyżywić nie może. Idzie tedy biedny chłopiec w obce kraje, pod zimne niebo Anglii, gdzie nie widzi już słońca włoskiego, gdzie pomarańcze nie rosną w polu, gdzie on od lat najmłodszych wprawiać się musi w sztukę wyludzania pieniędzy od litościwych osób...

Taką bywa dola owych Tadziów i Irenek, którzy zamiast do szkoły chodzić, muszą pracować na kawałek chleba. Nie wszystko tu opowiedziałem, co należało powiedzieć. Innym razem zaprowadzę was, kochani czytelnicy, do huty szklanej i pokażę, co tam robią wasi rówieśnicy. Na dzisiaj będzie dosyć. Pamiętajcie tedy, dzieci szczęśliwe, które umiecie czytać, pisać, macie czas uczyć się, macie dobrych nauczycieli i przewodników — pamiętajcie, że koło was pełno jest dzieci tak samo, jak wy mówiących, którzy do szkoły polskiej nie chodzą, z jej dobrodziejstwa nie korzystają, nie mają nauczycieli. Jakże tedy musicie być szczęśliwe, że uczycie się tylu pięknych rzeczy, że zamiast pleć buraki na czworakach, w słońcu, czy w deszczu, pod batem dozorczy, wy jesteście raczej, jak owe buraki w Saksonji, czy na Kujawach, koło

których pracują nie dzieci nieszczęśliwe, ale nauczyciele, ci nauczyciele i nauczycielki «pielą» wszelkie chwasty z morgów waszych, złe nałogi, złe uczucia. Pragną, abyście wyrosli na dobrych obywateli kraju, abyście życie swoje przyszłe wypełnili dobrymi uczynkami, szlachetną pracą, abyście mniej o sobie myśleli, a zawsze o ogóle, o sprawie publicznej, o ojczyźnie. Jeżeli pomyślicie o doli rolników, którzy światła i ciepła szkoły są pozbawieni, jeżeli pamiętać będziecie o doli tych, o których wam mówiłem dzisiaj, to zrozumiecie, że obowiązkiem naszym jest myśleć o tych dzieciach nieszczęśliwych, aby ich było coraz mniej, ale przede wszystkim kochać będziecie tem więcej szkołę, której to światło zawdzięczacie.

JAK DZIECI PRACUJĄ W FABRYCE

Przyrzekłem wam opowiedzieć, jak pracują dzieci w fabrykach.

Odwdzimy dziś hutę szklaną.

Wyobraźcie sobie szopę, olbrzymią szopę wpółotwartą, wystawianą na działanie wiatru, deszczu, śniegu, a w niej w olbrzymim rezerwuarze gotująca się masa szklana, gorejąca, jak słońce. Naokoło tego rezerwuaru, na podniesieniu poruszają się ludzie, napół odziani, często w samych tylko koszulach, złani potem, rozpaleni a w ich pobliżu młodzi ludzie, chłopcy, często dzieci poprostu. Starsi chwytają co chwila za inne narzędzie i w mgnieniu oka masa gorejąca, pochwycona przez sprawne ręce przybiera coraz to inną postać, jest kulą, kula wydłuża się, u jednego końca zwęża się i po chwili rzucona sprawnie przez majstra spada w ręce chłopca, który ją chwytą i odnosi na gromadę, aby wraz z innemi odnieść do sortowni. Odnosi co dnia tysiące takich ledwo ostygłych butelek, niekiedy butelka źle rzucona, zbacza z drogi, uderza o ramię chłopca, o plecy — wypalając olbrzy-

mią ranę, która się trudno goi! Dziesięć godzin trwa ta praca od wczesnego ranka do wieczora. Biedne dzieci, zmęczone, z opadającymi ze znużenia ramionami stają do pracy, dźwigają kosze pękających butelek do wina, podłużnych, grubych u końca, butelek do piwa, gąsiorów — setki, tysiące, miliony do sortowni, z sortowni do składu, ze składu do lamusa, gdzie gromadzą się resztki stłuczonych butelek, gąsiorów i szklanek. Skorupy przenoszą znów do pieca, aby przetapiać je na nową masę, z której nowe miliony butelek wyrobią płuca i ręce człowieka. Mówimy tu o francuskiej hucie szklanej i wszyscy ci młodzi chłopcy, których oglądaliśmy pod Lionem i w Billancourt pod Paryżem, są to włoskie dzieci, piękni chłopcy, chudzi, obdarci, z zarodkami chorób przeróżnych.

Skąd się te dzieci biorą we Francji? Zamiast do szkoły chodzić we Włoszech, dojrzewać i wyrastać pod gorącym niebem własnego kraju, pracują wśród obcych ludzi, nie rozumiejąc mowy, nie znając obyczaju, wyrastając bez książki, bez oświaty, bez opieki! Francja ma mało ludzi. Francuski robotnik jest drogi. Szuka tedy fabrykant robotników tańszych, szuka ich w krajach, w których jest przeludnienie, gdzie za pracę płacą mało i skąd ludzie wychodzą do obcych krajów za chlebem. Włoski chłop ma dużo dzieci, mało ziemi,

ciężko mu wyżywić rodzinę. Zamiast tedy dzieci do szkoły wysyłać, wynajmuje je albo poprostu sprzedaje. Handlarze włączają się po wsiach włoskich i skupują takie zbywające dzieci. Rodzice biedni, albo i wyrodni, za sto lirów rocznie wynajmują dzieci swoje handlarzowi takiemu. Umowę spisują na trzy lata. Rodzice dają handlarzowi metrykę, w której nie jest napisany wiek rzeczywisty dziecka, a taki, jaki jest potrzebny. Prawo bowiem nie pozwala już dzisiaj przyjmować do fabryk francuskich dzieci, nie mających skończonych lat czternastu. Dzieci tedy muszą mieć więcej niż 14 lat. A cóż począć, jeżeli mają dwanaście albo dziesięć, albo osiem? Wtedy metrykę się fałszuje. Są tacy niegodni urzędnicy, którzy za parę lirów wpiszą do metryki tyle lat, ile rodzice i handlarz zażądatają. A jeżeli urzędnik jest uczciwy, wtedy daje się dziecku metrykę starszego brata, kuzyna, sąsiada, który nazywa się inaczej, ma inne imię. Matka przykazuje chłopcu: «pamiętaj Beppo, że ty się odtąd nazywać będziesz Tito Ruffo! Żebyś się nie pomylił, bo inaczej wyrzucą cię z fabryki i z głodu umrzesz! Powtarzaj sobie codziennie: Tito Ruffo! Tito Ruffo! — po kilkanaście razy przy rannym i wieczornym pacierzu. A signora (pana), który jest taki dobry, że ciebie ze sobą w podróż bierze

szanuj i kochaj, bo to jest bogaty i dobry pan!...»

Handlarz, dobrze wypasiony, z brylantową spinaką w krawacie, w pierścionkach na tłustych (i brudnych) palcach, obecny przy tej rozmowie, uśmiecha się, klepie po plecach i po twarzyczkach. I aby sobie więcej jeszcze względy zaskarbić, obiecuje dzieciom, że im będzie dobrze, że zobaczą piękne kraje, będą jadły dobrze, tłusto i słodko. Dzieci całują po rękach tego pana, który gromadkami całami ładuje biedne dzieci na statki w Neapolu i setkami zwozi do Marsylii we Francji, skąd już wysyła się dzieci koleją do fabryk, przeważnie do hut szklanych w całej Francji *).

Dziecko dostaje się do francuskiej huty szklanej. Pracuje dziesięć godzin na dzień. Otrzymuje za to franka, najwyżej półtora franka dziennie. Fabrykant nie może znaleźć za tę cenę robotnika Francuza, ani dzieci francuskich, chętnie bierze tedy dzieci obcych ludzi, ciche, pokorne, nie umiejące mówić po francusku, drżące przed handlarzem, który czuwa nad niemi. Handlarz bowiem, mieszka obok fabryki. Dzieci mieszkają u niego, on je ży-

*) Dzieci wywożą przeważnie z południowych Włoch z prowincji Kazerta i Bazylikata. Dzieci rozpraszają się we Francji przeważnie w departamentach Podanu i Loary, część wędruje w okolice Paryża.

wi. Co zarobią, on zabiera. Przecież zapłacił za nie zgóry za trzy lata! Może tedy robić z niemi, co mu się podoba. I oczywiście stara się, aby go jak najmniej kosztowały. Mieszkają w piwnicy, na barłogach, jedzą tylko kartofle, marchew, chleb, piją czystą wodę. W południe gotują im zupę kartoflaną na wodzie, bez masła, bez mleka. I tak co dnia, w ciągu długich lat! Rano handlarz, w obawie aby mu dzieci nie uciekły, prowadzi je do fabryki, w południe i wieczorem przychodzi po nie. Uczy dzieci jak mają mówić, gdy nie jest pewny, że go słuchają, tak je katuje, że dzieci, słysząc zdaleka głos jego, drżą na całym ciele! Nigdy nie pomyłają się, gdy je o imię pytają. Gdy przychodzi kontrola urzędowa, inspektor fabryczny, odpowiadają bez zająknienia. Chłopiec chudy, jak szczapa, o wynędzniałej twarzyczce i smutnych oczach, gdy go inspektor taki zapyta: ile masz lat? — odpowiada bez zająknienia i zawsze wymieni lata wymienione w metryce, która nie dotyczy jego osoby. Wszyscy chłopcy muszą mieć skończonych lat trzynaście, mają tedy w metrykach 13, 14, 15, 16 i t. d. lat, a w rzeczywistości mają 12, 11, 10 nawet osiem lat wieku. Pomyślcie tylko! Chłopcy dziewięcioletni i ośmioletni, jakich wy w szkole nie widujecie jeszcze, tu w hucie szklanej pracują, p-r-a-c-u-j-ą, jak

starsi robotnicy po dziesięć godzin na dobę w takim gorącu, że ludzie bez ubrania, w koszuli tylko pracować muszą, śpią w piwnicy, żyją kartoflanką. Nikt się niemi nie zajmuje. W obawie, żeby nie skarżyły się księdzu, handlarz nie pozwala im do kościoła chodzić. Mówi, że «niema tu kościołów, albo że nabożeństwo tu odprawiają w takim języku, że dzieci nie rozumieją, że Pan Bóg jest wszędzie, a więc usłysz, jak pacierz w domu odmówią, że on, padrone, też do kościoła nie chodzi, a jest zdrow i szanują go ludzie, i jak co dnia widzą, sam właściciel fabryki ściska go za rękę...»

Odpoczynek dzieci te znajdują — w szpitalu! Co parę dni zdarzy się wypadek przy pracy. Oparzą biednego chłopca, wypalą mu ranę na plecach, na nodze; na wietrze i deszczu pracując w otwartej szopie, nie przyzwyczajony do klimatu Francji, chłopiec zapada na różne choroby, na zapalenie płuc, oskrzeli, gardła i t. p. Gdy podраста i każą mu dmuchać w rurki, nadweręża płuca i serce. Dzieci te mrą setkami. Obliczono, że na dziesięcioro małoletnich pracowników wraca dwoje zaledwie do wsi ojczystej. Troje ginie gdzieś po świecie, a pięcioro, połowa, umiera podczas pierwszych lat pracy. W domu chorować nie można. Gospodarz (t. j. handlarz, który dzieci te wynajął) nie chce ich żywić

darmo. Dobroczynni Włosi, siostry miłosierdzia, dobrzy ludzie zajmują się niemi w szpitalu. W domu śpią w piwnicy, w skrzyniach, wypchanych słomą, po trzech, czterech w jednej. Słoma jest wilgotna. Za kołdry służą im szmaty, łachmany, w których chodzą w dzień. W zimie nie rozbierają się na noc. Nie mają bielizny na zmianę. Piorą koszuliny swoje w niedzielę i ledwie wysuszone — kładą na się. Nie kąpią się nigdy.

I takich dzieci pracuje we Francji dwa tysiące, w samych tylko hutach szklanych.

Kiedy po pracowitym dniu, w szkole spędzonym, po dobrym obiedzie, podwieczorku i kolacji, mały Tytus zdrow i wesół pod opieką kochającej matki, kładzie się na spoczynek, jego mały imiennik Tito Ruffo, który z nad zatoki neapolitańskiej, z gminy Zimno Woda (Acquafredda), w ósmym roku życia powędrował do dalekiej Francji i tam pracuje, jak niewolnik, na targu kupiony, od rana do wieczora i tęskni do łóżeczka szpitalnego, do łagodnego uśmiechu Siostry miłosierdzia, gdyż to jedyne miejsce gdzie go nie biją, nie ranią i nie głodzą, gdzie nie słyszy ani głosu handlarza, ani wymysłów majstra i gdzie śnić mu wolno o niebie, które porzucić mu kazano, o łące, na której pasał kozy, a może i o makaronie, który połykał, grzejąc się na słońcu!

O F I A R Y K O P A L Ń

Zdarzył się w Dąbrowie Górniczej, w kopalni Reden, wypadek okrutny: zginęło od gazów trujących i ognia kilkudziesięciu górników. Wypadek niejednokrotnie notowany w rocznikach górnictwa od najdawniejszych czasów, we wszystkich krajach, gdzie człowiek korę ziemską porusza, aby wydobyć z niej to, co kryje zazdrośnie: węgiel. Oczywiście, wynalazki, przezorność ludzka czynią te wypadki rzadszemi. Na kopalniach, których administracji przewodzi rozum i szacunek dla pracy i życia człowieka, znajdują się licznie i sprawnie działające przyrządy ratownicze. Człowiek uprzedza nieszczęście i poprawia skutki fatalne działania dzikich sił utajonych w głębi ziemi, czyhających na życie śmiałków co, w lampkę i kilof zbrojni, przedzierają się poprzez kondygnacje bogactw, nagromadzonych od tysiącoleci, od milionów lat.

Wyszli z domu, spokojni, weseli, u wylotu kopalni dowiedzieli się, że tam w dole jest niepewnie, za gorąco, może i niebezpiecznie. Zarząd,

któryś z urzędników upewnił, że niebezpieczeństwa niema. Robotnik, górnik, który, gdyby się bał niebezpieczeństwa, nigdyby nie zjechał do kopalni, — poczekał, poczekał chwilę, spełnił swój obowiązek i wnet zwała się na niego chmura płonącego gazu. Zaczął uciekać, po chwili z porażonemi płucami padł. Może się męczył, może spłonął. Życie przestał. Pozostała po nim rodzina. Wdowa, gromada dzieci nieletnich.

Zginął bohater, rycerz obowiązku, co się pracą pieczętował i na pobojuwisku, samotrzeć idąc na przemożnego wroga, w nierównej walce zginął. Żył dla społeczeństwa i dla społeczności, dobывая «kalorji», zginął. Położył kości dla nas, dla ogółu. Czemże by ten świat był bez niego? Pomysłmy tylko, jakim dobrodziejstwem kultury jest piec hermetyczny, albo światło sztuczne, przedłużające dzień słoneczny o długość nocy. Jakiem dobrodziejstwem jest życie w rodzinie, przy stole, na którym spoczywają ukochane książki. Chodzimy do teatru, czy słuchamy koncertu, jedziemy koleją, wysyłamy depesze; nie istnieje dla nas ani czas, ani przestrzeń. I wszystko to zawdzięczamy samotnemu górnikowi. To nie tylko rycerz pracy, ale i rycerz wolności? On w pierwszej linji czyni nas wolnymi od działania ślepej siły natury, od chłodu zimowych miesięcy, co ziemską korę

w łód zakutą czynią martwą i niemą, od mroku nocy. On też, wyzwalać w nas tyle siły, czyni nas zdolnymi do pracy nad wyzwoleniem społecznem.

Nieskończone tedy my, żywi, mamy wobec górnika obowiązki, gdy żyje; a gdy go nie stało, gdy zginął w katastrofie, mamy obowiązki wobec jego rodziny, wdowy, sierot, których płacz wypełnia atmosferę Zagłębia węglowego.

Cała społeczność powinna stanąć z odkrytą głową przed marami, na których spoczęły zwłoki Nieszczęśliwych, przed ich mogiłą. Ich rodziny, ich dzieci powinny znaleźć opiekę w instytucjach państwowych. A w braku tychże, szerokie masy społeczności polskiej powinny zbożnym wysiłkiem dźwignąć fundusz pomocy.

G D Z I E J E S T W I O S N A ?

Ziemia zmarzła na łokieć, drogi są wszędzie w takim stanie, że przejechać nie można i że cudem konie mocne i odkarmione przedzierają się poprzez śniegi, na dwa łokcie ubite. Słońce wysoko już stoi na niebie, a mrozy drwią sobie z człowieka i z drzewa. Popołudniu w ogródku, na który wychodzi okno mego pokoju — zbierają się wróble i świergocą, a ja w tym świergocie słyszę tęsknotę...

Gdzie jesteś Wiosno? Tyle czasu czekamy Odnowy. Tyle dni i nocy żre nas ból od mrozu nasyłany, nękają nas dni bez słońca, noce zlane zimnem światłem księżyca.

Gdzie jesteś Wiosno? Od tak dawna czekamy Odnowy: nowych sił, nowej krwi w żyłach, odnowy mózgu i serca. Wydaje nam się, że gdy w drzewach soki ruszą i wiosenny wiaterek igrać zacznie po runi zielonej i strumień z łąk spływając, obijając się o kamienie na swojej drodze zasłumi w uszach naszych, i my sami odnowę swoją znajdziemy. Oko nowym blaskiem zapłonie, nowa

siła wstąpi w mięśnie nasze, wypędzi nudę z serca, słońcem wypełni komórki mózgowe.

«Bojowaniem jest życie człowieka na ziemi» — czytać można w Psalterzu, ale bojować można chyba tylko w atmosferze wiosny. Nietylko bojować, ale przede wszystkim pracować.

.....

Gdzie jesteś Wiosno? Do Odnowy tęskni całe życie nasze: nietylko jednostka ludzka, ale społeczność cała, państwo całe. Za długo trwa już luda zima nasza. W tej ciężkiej zimie zamrzły źródła życia: prawo. Życie nasze jest bez radości szczerzej, przyrodzonej radości, radości życia, która każe nabierać świeżego powietrza w płuca, rozkładać i składać ramiona, podnosi puls we krwiobiegu, rumieńcem krasi oblicze i zapala młodzińczy ogień w oczodołach.

.....

Czekamy wiosny, której od tak dawna nie poznaliśmy. Naprzód była wojna, potem była nowa wojna, a potem wojna wewnętrzna. Troski, kłopoty, smutki, zgrzyty, groźby, awantury, paskarze, drożyzna, nędza u tych, którzy pracują, rozpusta i przepych u tych, którzy spożywają owoce pracy bliźnich. Ale serca nasze jeszcze nie ska-

mieniały, rozwierają się co rana szukając Słońca i Wiosny.

Przyjdź, o Wiosno, i odnow życie nasze. Przywróć nam — nadzieję. Przywróć nam żądzę wytrwania. Spłosz melancholję, aby odeszła poza próg duszy naszej. Słońcem wypełnij stroskane dusze nasze, abyśmy mogli pracować i cieszyć się i walczyć jak przystało na — żołnierzy Wolności. Ty przecież jesteś Wolnością. Ty rozkuwasz ziemię i drzewo z zimnej powłoki lodowej. Pod twojem tchnieniem ziemia rodzić zaczyna i soki w drzewie — żyją na nowo. Ty lekkie obłoczki pędzisz po niebie lazuruwem.

Ty jesteś Nadzieją.

Przyjdź o Wiosno!

LOT MARSYLJANKI

Jest Pieśń nad Pieśniami, pieśń Wiosny i Rewolucji, pieśń Marzenia twórczego i Tęsknoty, pieśń, co niby skrzydła wyrasta na barkach od troski i pracy wygiętych, prostuje je i ku wyżynom prowadzi.

Ku wyżynom Męki i Triumfu.

To... Marsyljanka!

Pisał ją młody oficer, biedak, muzykant w życiu cywilnem, w Strasburgu, na poddaszu starego domu, gdy w dobie wielkiej rewolucji wojska proletariatu francuskiego, w drewnianych sabotach na nogach, w podartem odzieniu z worków naprędce uszytem, szły bronić zdobyczy Wielkiej Rewolucji. Wojska rewolucyjne szły przeciwko armjom potężnym: Fryderyka pruskiego i Marji Teresy, austriacki, przeciwko armjom broniącym przywilejów szlacheckich i wyzysku, przeciwko armjom najemniczym.

Wojsko Francji rewolucyjnej nie miało jeszcze pieśni, hymnu. Koledzy rzekli: «Hymn napisze Rouget de l'Isle», muzykant, w skrzypkach zakochany tyleż co w Rewolucji.

Oficer zamknął się na poddaszu. Był biedny, nędzny miał mundur, bieda z kątów wygląda. Chodzi i gra. Powoli izba na poddaszu wypełnia się: boginie Buntu, Marzenia, Tęsknoty, Maraton i Termopile, zapadające się w otchłań trony, wołające o pomstę krzywdy nędzarzy, chłopów i robotników, krzywdy wszystkich uciskanych, palonych na stosie za miłość dla czasów, co przyjdą, męczonych za przekonania, za wiarę, za odwagę mówienia łotrom, że są łotrami, kłamcom, że kłamią... Wieki krzywdy nieopisanej, wieki płaczu, milionów, jęczących pod batogiem poddaństwa — przesuwają się przed oczyma muzykanta, wypełnionemi płomieniem.

Z drewnianego pudełka nagle brzmi wołanie, w którym słyhać Rozpacz i Zwycięstwo, potęgę Woli i Nadziei, słyhać Wiosnę i młodą ku triumfom nieskończonym idącą Siłę zbiorową.

Do Broni, Obywatele!

Obywatele! Nie poddani, nie najemni żołdacy. Panowie własnej, nieprzymuszonej woli, mocarze co z największymi potęgami dawnego świata zmierzyć się idą, kochankowie Wolności, co tę wolność od wieków wytęsknioną, wraz z życiem tylko oddadzą, kochankowie nowego, na kolor krwi pomalowanego sztandaru! Idą, taka ich wola. Idą, bo bronić będą własnego Marzenia, wszystkiego, co

ukochali, co jest ich własne, co pracą zdobyli i pracą umocnili. Idą, bo muszą bronić Wolności, aby Równość była.

Liberté, Liberté chérie!

O Wolność nad wszystko ukochana!...

Mkną palce po strunach. Łuna bije z młodzieńczego czoła. Znikają mury krzywd, męki; znikają drewniane, zmurszałe ściany izdebki, stoi artysta, twórca uskrzydłonej pieśni, a przed nim Nike, grecka bogini zwycięstwa.

Tegoż dnia wieczorem artysta gra swój hymn w salonach burmistrza Strasburga. Porwał gości. To byli nowi ludzie, mieszczenie, co dotychczas praw nie mieli. Porwał za sobą wszystkich uczuciem Buntu i Tęsknoty, pognął wszystkich starych, młodych, mężczyzn i kobiety przeciwko wrogowi, co stał opodal.

Nazajutrz całe miasto umiało napamięć i pieśń, i muzykę. Wszyscy śpiewali i grali, wszyscy z tą pieśnią szli do szeregu, przyśpieszali kroku — wszyscy wolni, równi, obywatele! Ta pieśń nad pieśniami szła przed Francją Wielkiej Rewolucji. Zcaliła Francję; zjednoczyła wszystkie ludy Francji w świadomości jednego prawa, jednej woli, w pojęciu nowem, rewolucyjnem, dotychczas nieznanem: ojczyzny.

Amour sacré de la Patrie!

O, święta miłości Ojczyzny!

Lud dodaje strofę do strofy. Pieśń rośnie, śpiewają ją dzieci, wychowuje ona naród jutra, który zbierze plon tego, co dzień dzisiejszy posiał, który umocni to, co zaistniało, który Marzenie utrwali w spiżu i spiżowe belki położy pod świątynię najdalej idących przeobrażeń społecznych.

Tę pieśń śpiewała Francja wszystkich rewolucyj, wszystkich Republik. Za Francją śpiewał ją świat cały Rewolucyj. Śpiewali wszyscy, co tęsknili do wolności i ginęli dla wolności na szafotach austriackich, pruskich, rosyjskich. Śpiewali ją jeńcy wszystkich cytaadel. Budziła ich w chwili wątpienia. Podnosiła im opadające w zniechęceniu skrzydła. Prostowała wolę.

Aux armes, citoyens! Na szaniec, obywatele! Na barykady, towarzysze! Precz z najazdem, precz z uciskiem! Ducha budzimy i wiarę w zwycięstwo!

O, pieśni tych, co tęsknią do wolności i życie za wolność oddać gotowi. Co wołasz: «żyć wolnym lub umrzeć!» Co skrzydła przypinasz zwycięskie Pieśni, równe bogini Nika Samotrackiej, która hufce starożytnych Greków tylko do zwycięstwa prowadzić mogła.

O, pieśni, co martwych z pobojowiska do nowego życia, do czynu, do wytrwania podnosisz,

co niewolnikowi każesz zrywać i łamać kajdany;
co obalasz trony na fałszu i krzywdzie zbudowane,
co nietoperzy wymiatasz ze świątyni ducha, co
łamiesz przeszkody, zdawałoby się niezwalczone,
co z tłumu ulicznego budujesz kadry narodu i w zbiorowisko przypadkowe tchnąć potrafisz miłość i prawdę ojczyzny, co z niemożliwości czynisz konieczność i Łazarzy w Herkulesów przemieniasz, o Marsyljanko sansculottes'ów i ludzkości, o pieśni Wielkiej Rewolucji i wszystkich czasów, pieśni Buntu i Marzenia, pieśni ojczyzny i odrodzenia.

W O L N A O J C Z Y Z N A

Tysiące lat błakał się człowiek po stepie i po pierwotnym lesie, zanim z dzikiego koczownika stał się osiadłym barbarzyńcą. To już postęp olbrzymi. Człowiek, uganiający się od rana do wieczora za zwierzem, żyjący z tego zwierza, żywiący się jego mięsem, przykrywający nagie ciało jego skórą, szukający w jego legowisku schronienia przed długą pierwotną zimą i człowiek nie mający innego przywiązania jak tylko do broni kamiennej, która jest jego siłą i tarczą obronną. A po tysiącach lat — któryś z pra-pra potomków tego pana stepów, drżącego przed lada szelestem w sitowiu nadrzecznym, przed poszumem, idącym z boru pierwotnego, osiedla się i przestaje tułać się po stepie, przestaje kochać broń morderczą, przestaje widzieć dostojęństwa w ilości kłów po ubitej zwierzynie, a wykrawa w pierwotnym boru kawał ziemi i tę ziemię zaczyna uprawiać, buduje szałas i szałas ten sposobi na zimę. Buduje go co wiosna trwalszy, pokrywa dachem, otacza płotem; hoduje zwierzęta, które mu żyć pomogą, pracę z nim podziela.

Mijają znów tysiącolecia. Człowiek pierwotny jest już nie dzikim i nie barbarzyńcą. Ludzie są już wolni i niewolni. Jeden jest pan, a wielu ma niewolników koło siebie. On rządzi, panuje, korzysta z cudzej pracy, on chodzi na wojnę, a tysiące pracuje na niego. Ziemia, która niegdyś na pastwisku była wolna, bezpańska jest teraz własnością kilku, rozpada się na wielkie majątki prawem wojny i rozboju przywłaszczenia zapisana na niektórych. Na tej ziemi tysiące siedzi pracowników, którzy nie tylko pracują na pana, oddają mu wszystkie siły, ale zależą od niego w zupełności, on jest panem ich życia i śmierci, on rządzi nimi, on ich sądzi. Bez jego wiedzy i pozwolenia nie wolno im się żenić. On karze ich przewinienia, on ich chłoszcze i w dyby zakuwa.

Znowu mijają setki lat i ludzie bezbronni zrzucają z siebie kajdany zaborczości. Chłop bezrolny, narzędzie powolne dziedzica, narzędzie bezduszne o pochylonej ku ziemi głowie, chudy, wyczerpany — staje się wolnym. Nie chce mieć pana nad sobą. Chce mu być — równy. Zakłada podwaliny pod nowy świata porządek oparty na zasadach równości i wolności. Staje się też właścicielem ziemi, który uprawiał do tej pory na rachunek dziedzica.

Jak to być mogło, że tak długo w ciągu tylu stuleci chłop mógł tę ziemię uprawiać, i nie nazy-

wać jej swoją? Kłaść w nią pot swój, krew swoją, być przy niej myślą, okiem, ręką, nogą, kochaniem od najwcześniejszej młodości aż do późnej starości — i wciąż siedzieć tylko na niej bez prawa uważania jej za swoją. «Tu ojciec mój i dziad mój, i pradziad siedzieli, pracowali, w jarzmie chodzili i rozkazów słuchali. Słuchali też szemrania rzeki opodal, rozmowy drzew w pobliskim jarze, tu na cmentarzu spoczęli — i ta ziemia nie miałaby być moją ojcowizną?», pewnie chłop musiał sobie zadawać to pytanie. Bywali ludzie — nie wielu ich było — co zupełnie jak on pytali. Bywali ludzie co chłopom wolność i ziemię na własność dawali. Były to wyjątki, których nazwiska zapisane są na złotych kartach historii narodowej. Ale dopiero wielka Rewolucja Francuska podniosła ten wyjątek do poziomu zasady. Na świat cały rzuciła hasło wolności, własności, równości dla wszystkich synów tej ziemi, którą nazywała — ojczyzną.

W imię tych haseł porwał się chłop francuski w końcu XVIII w., aby ziemi ojczystej bronić i praw, które mu dała Rewolucja. Pękły kajdany, które dźwigał, a tu z zewnątrz wyrastał wróg, który przychodził bronić króla i jego władzy absolutnej i pańskich przywilejów; słowem, przychodził bronić tych kajdan, których znaki nie były się jeszcze wygoiły na spracowanym ciele włościanina.

Zbiegło się u granicy tysiące tych, co się poraz pierwszy spotykali. Ludzie północy i południa, celt bretoński, jasnowłosa i południowiec z Marsylji i Prowancji—opalony od słońca, smagły czarnowłosa. Nosili różne nazwy od krajów, które zamieszkiwali. Każdy znał przeważnie tylko wieś, w której się urodził, pracował i w którejby po śmierci spoczął. Każdy mówił inną gwara. Tu u granicy, na froncie, u kopców, pod którymi walczyć przychodzili z wrogiem z Prusakiem, z Austriakiem, z Moskałem, z najemnikiem szwajcarskim—tu stawali się ci wszyscy Gaskończycy, Ardeńczycy, chłopci Szampanji i Langedoku, czterdzieści przeróżnych szczepów—stawali się Francuzami! Przychodzili bronić ojczyzny, którą im wraz z prawem dała Rewolucja.

Ojczyzna istnieje tylko dla wolnego człowieka. I czy to będzie Francuz, czy Polak—tylko wolny człowiek, tylko obywatel ojczyznę rozumie, ojczyznę kocha i ofiarę dla niej ponosić jest zdolny. Dlatego o ojczyźnie w Polsce mówiła tylko szlachta, jeden stan wolnych ludzi, jakich dawna znała Polska. Dziś jest inaczej: dziś ojczyzna jest już wszystkich w kraju własnością i publicznem posiadaniem. I dziś wszyscy bez różnicy pochodzenia bronić jej będą. Każdy może czego innego w niej broni. Każdy czego innego w niej szuka. Tak jak w tęczy na niebie szukamy

każdy innego miłego nam koloru. Ale wszyscy bez wyjątku bronimy jej wolności, gdyż bez tej wolności, czujemy to wszyszy niemasz naszej własnej, osobistej wolności. Z drugiej strony im wolność obywatela osobista doskonalsza, im bezpieczeństwo jego osoby, jego imienia, jego zagona—pewniejsze, tem mocniejsze przywiązanie jego do ziemi, która mu jest Ojczyzną. Te dwa pojęcia obywatela i ojczyzny tak są ze sobą związane, że jedno rośnie wraz ze wzrostem drugiego, jedno zanika, gdy drugie upada. Celem człowieka na ziemi jest uszlachetnienie, a celem wszystkich dążeń ludzkich jest: wolny człowiek w wolnej ojczyźnie.



235035

S P I S R Z E C Z Y

	STR.
SŁOWO WSTĘPNE	1
GWIAZDKA «Zbliska i Zdaleka» 1913	3
PAMIĄTKA SZKOLNA «Robotnik» 1927	10
LELEWEL W WILNIE «Zbliska i Zdaleka» 1914	13
TAJEMNICA ADRESU POCZTOWEGO «Zbliska i Zdal.» 1913	19
SOBOTNIE GAWĘDY PROF. BEZMASKIEGO (O SZKOLE AMERYKAŃSKIEJ) «Zbliska i Zdaleka» 1914	25
ZWIĄZKI DOBROCI «W słońcu» 1919	43
SZKOŁA DOBROCI «Robotnik» 1924	50
CO TO JEST BOHATERSTWO «Zbliska i Zdaleka» 1914	53
LODOWY KOPIEC BOHATERÓW «Zbliska i Zdaleka» 1914	58
BOHATER ŻYWY O TOWARZYSZACH MARTWYCH «Zbliska i Zdaleka» 1914	74
LOTNIK «Robotnik» 1927	79
MĘCZENNIK I JEGO KORONA «Robotnik» 1924	83
NA ODWIECZNYM WULKANIE «Zbliska i Zdaleka» 1914	86
W CZELUŚCIACH WULKANU «Zbliska i Zdaleka» 1914	92
O DZIECIACH, KTÓRE ZAMIAST DO SZKOŁY CHODZIĆ, MUSZĄ NA KAWAŁEK CHLEBA PRACOWAĆ «Zbliska i Zdaleka» 1914	96
JAK DZIECI PRACUJĄ W FABRYCE «Zbliska i Zdal.» 1914	109
OFIARY KOPALŃ «Robotnik» 1923	116
GDZIE JEST WIOSNA «Robotnik» 1924	119
LOT MARSYLJANKI «Robotnik» 1920	122
WOLNA OJCZYZNA «W słońcu» 1920	127

235035

DRUKARNIA
NAUKOWA
w WARSZAWIE